

KSIĘGA IV

(1731—1732). Przybywam i nie zastaję jej. Można sobie wyobrazić moje zdumienie i boleść! Wówczas dopiero zaczął mnie dręczyć żal, iż tak niegodnie opuściłem Mistrza. Żal mój stał się żywszy jeszcze, skoro się dowiedziałem o nieszczęściu, jakie mu się trafiło. Skrzynię z nutami, która zawierała cały jego majątek, tę nieoszacowaną skrzynię, uwięzioną z takim trudem, przejęto na rogatkach Lyonu, a to za sprawą hrabiego Dortan, do którego napisano z kapituły, aby go uprzedzić o ucieczce Mistrza. Próżno Mistrz upominał się o swój dobytek, swój chleb, pracę całego życia. Właśność skrzyni powinna była stać się conajmniej kwestją procesu: nie było żadnego. Sprawę rozstrzygnięto z miejsca, prawem silniejszego, i biedny Mistrz postradał, w ten sposób, owoc swych talentów, pracę młodości i zabezpieczenie na starość.

Wszystko składało się na to, aby ów cios uczynić mi najdotkliwszym. Ale byłem w latach, w których wielkie zgryzoty niełatwo chwytają się człowieka. Liczyłem na to, iż, w niedługim czasie, otrzymam wiadomości od pani de Warens, mimo że nie znałem jej adresu, ona zaś nie wiedziała że jestem z powrotem. Co zaś do mej dezercji, to, ostatecznie, nie uważałem jej za taką zbrodnię. Byłem użyteczny Mistrzowi w jego ucieczce: to jedyna usługa, która była w mej mocy. Gdybym został z nim we Francji, nie uleczyłbym go z choroby, nie ocaliłbym skrzyni, podwoiłbym jeno wydatki nie będąc przydatny na nic. Oto jak wówczas przedstawiały mi się rzeczy: dziś patrzę na to inaczej. Szpetny uczynek ma to do siebie, iż nie wówczas najbardziej dręczy, kiedy się go świeżo popełniło,

ale dopiero później, kiedy sobie przypomnimy o nim, wspomnienie takie bowiem nie wygasa nigdy.

Jedyną drogą jakichś wiadomości o mamusi było poprostu czekać na nie: gdzie szukać jej w Paryżu i z kim puścić się w taką podróż? Annecy było jedynym miejscem, w którym miałem nadzieję dowiedzieć się wcześniej lub później gdzie ona bawi. Zostałem tedy; ale prowadziłem się dość nietęgo. Nie poszedłem do biskupa, który zaszczycał mnie protekcją i jeszcze mógłby mi jej użyć: pozbawiony opiekunki, nie czułem się dość pewny siebie i lękałem się wyrzutów za ucieczkę. Tembardziej nie pokazałem się w seminarjum: księdza Gross już tam nie było. Nie zaszedłem do nikogo ze znajomych; byłbym wprawdzie chętnie złożył wizytę intendenta, ale brakło mi śmiałości. Postąpiłem sobie jeszcze gorzej: odszukałem Wenturę, o którym, mimo całego uwielbienia, nie pomyślałem ani razu od wyjazdu. Zostałem go w świetnej pozycji, fetowanego w całym Annecy; damy wydzierają go sobie. To powodzenie do reszty zawróciło mi głowę; nie widziałem już nic poza Wenturą: nieomal zasłonił w mej pamięci panią de Warens. Aby korzystać tem swobodniej z jego lekcyj, zaproponowałem mu, by podzielił ze mną kwaterę; zgodził się. Mieszkał u pewnego szewca, zabawnego i wesołego kompana, który, w gwarze swojej, nie nazywał swej żony inaczej jak *maciorką*: miano zresztą dość trafnie dobrane. Był z nią w nieustannych kłótniach, które Wentura, pod pozorem łagodzenia ich, podsycił troskliwie. Chłodnym na pozór tonem, rzucał im, od czasu do czasu, swoim prowansalskim akcentem słówka, które działały jak oliwa dolana do ognia; można było skończyć ze śmiechu patrząc na te sceny. Tak mijał ranek, ani się człowiek obejrzał kiedy; o drugiej lub trzeciej trzeba było coś przetrząść; potem Wentura wędrował po znajomych domach, gdzie zostawał zwykle na kolacji; ja zaś przechadzałem się sam, rozmyślając nad tym niepospolicym człowiekiem, podziwiając go, zazdrosząc talentów i przeklinając nieżyczliwą gwiazdę, która nie powołała mnie do tego rozkosznego życia. Ach, jakże fałszywie oce-

niałem je wówczas! Moje własne byłoby mi płynęło sto razy rozkoszniej, gdybym był mniej głupi i gdybym lepiej umiał go używać.

Pani de Warens zabrała ze sobą tylko Klaudjusza; zostawiła w domu pannę Merceret, pokojową o której wspominałem: zastałem ją rozgoszczoną w pokojach pani. Merceret była to dziewczyna nieco starsza odemnie, nieładna ale dość ponętna; poczciwa i dobrodusznym fryburżanka, bez innych przywar prócz tej, iż była niekiedy dość zuchwała względem chlebobawczyni. Była to więc dawną znajomość; widok jej, który przypominał mi inną, droższą osobę, sprawił mi szczerą przyjemność. Miała różne przyjaciółki, między innymi pannę Giraud, genewkę, której, za moje grzechy, wpadło do głowy zadurzyć się we mnie. Nalegała wciąż na Merceret, aby mnie przyprowadziła: pozwalałem się ciągnąć, ponieważ dość lubiłem Merceret i ponieważ były tam inne osoby, które rad widywałem. Co do panny Giraud, która starała się mnie wieść na pokuszenie wszelkimi sposobami, miałem zawsze do niej niezwykłą odrazę. Kiedy zbliżała do mej twarzy swoją suchą i czarną mordkę, wечно ubabraną hiszpańską tabaką, musiałem się wstrzymać, aby w nią nie napluć. Ale znosiłem to cierpliwie, pozatem bowiem dobrze mi było w towarzystwie tych dziewcząt; one zaś, czy aby przypadła się pannie Giraud, czy dla mnie samego, fetowały mnie na wyścigi. Widziałem w tem jedynie objawy przyjaźni; nieraz, później, przychodziło mi na myśl, że może tylko odemnie zależało dopatrzeć się czegoś więcej: ale wówczas nie powstało mi to nawet w głowie.

Zresztą szwaczki, pokojówki, panny sklepowe nie kusily mnie wcale; trzeba mi było wykwintnych panien. Każdy ma swoje fantazje: moja była zawsze taka, i nie godzę się bynajmniej z Horacym na tym punkcie. To co mnie w tem pociąga, to wcale nie próżnostka pozycji społecznej i stanu: nie, to lepiej utrzymana pleć, ładniejsze ręce, wdzięczniejszy strój, polor wykwintu i schludność w całej osobie, więcej smaku w obejściu i wysławianiu się, cieńsze i lepiej skrojone suknie, zgrabniejszy trzewiczek, wstążki, koronki,

lepiej utrefione włosy. Dalbym zawsze pierwszeństwo mniej ładnej, byle miała to wszystko. Sam uważam to za śmieszne, ale serce nie pyta mnie o zdanie.

I otóż mogłem mieć to wszystko! wszystkie te uroki szły mi w ręce i odemnie tylko zależało z nich korzystać. Jakże lubię zachodzić czasami myślą w szczęśliwe chwile młodości! Jakże mi były słodkie! Były tak krótkie, tak rzadkie i korzystałem z nich tak niewinnie! Ach, samo ich wspomnienie napawa jeszcze me serce czystą rozkoszą, tak potrzebną by skrzepić odwagę do życia i podtrzymać mnie w pasmie smutnych dni, które mi zostały.

Jednego ranka, brzask wydał mi się tak piękny, iż, ubrawszy się spiesźnie, żywo pomknąłem w pole, by oglądać wschód słońca. Syciłem się tą rozkoszą w całym jej powabie; było to w tydzień po św. Janie. Ziemia, w pełni swej kraszy, okryła się zielonością i kwieciami; słowiki, wyciągając ostatnie trele, zdawały się lubować w sile i wibracji swego głosu; wszystkie ptaki, chóralnym koncertem żegnając wiosnę, opiewały narodziny dnia letniego, jednego z owych pięknych dni, których nie widuje się już w moim wieku i których nigdy nie widziano w smutnej ziemi będącej dziś mem schronieniem.

Nieznacznie, oddaliłem się od miasta. Upał wzmagał się, przechadzałem się w cienistej dolinie nad strumieniem. Wtem, słyszę tentent koni i głosy dziewcząt; zdawały się niby zakłopotane, mimo to śmiały się z szczerego serca. Obracam się, ktoś woła mnie po imieniu; zbliżam się, widzę dwie młode osoby, znajome, pannę de Graffenried i pannę Galley, które, niezbyt mocne w sztuce amazo- nek, nie umiały zmusić rumaków do przejścia przez strumień. Panna de Graffenried, była to młoda bernenska, bardzo miła, która, w przystępie jakiegoś młodocianego szaleństwa opuściwszy ziemię rodzinną, poszła za przykładem pani de Warens: ale, nie posiadając, jak ona, pensji, szczęśliwa była, iż znalazła schronienie u panny Galley. Ta, zaprzyjaźniwszy się z nią serdecznie, skłoniła matkę, aby przyjęła panienkę w dom w charakterze towarzyszki, póki

nie znajdzie się dla niej czegoś trwalszego. Panna Galley, o rok młodsza, była jeszcze ładniejsza: miała coś delikatniejszego, wytworniejszego. Kształty jej były zarazem bardzo dziecięce i bardzo kobiece: najpiękniejsza faza młodej dziewczyny. Kochały się czule, a dobra ich natura pozwalała wróżyć, iż przyjaźń ta będzie trwałą, o ile miłość jaka nie stanie jej w drodze. Powiedziały mi, że jadą do Toune, starego zamku należącego do pani Galley; błagały o pomoc w przeprowadzeniu koni, z czem same nie umiały sobie dać rady. Chciałem popędzić konie, ale obawiały się iż zaczną wierzgać i kopać. Uciekłem się do innego środka; ująłem konia panny Galley za wędzidło i, ciągnąc go za sobą, przebyłem strumień, prawie po kolana w wodzie. Drugi koń przeszedł sam bez trudności. Dokonawszy tego, chciałem się skłonić pannom i oddalić jak dudek: wymieniły parę słów po cichu, poczem pana de Graffenried rzekła: „Nie, nie, nie uda się panu wymknąć w ten sposób. Przemoczył się pan w naszych usługach, obowiązkiem naszym jest pana osuszyć: proszę, jeśli łaska, z nami; bierzemy pana do niewoli“. Serce mi biło, spoglądałem na pannę Galley. „Tak, tak, dodała, śmiejąc się z mej przerażonej miny, jest pan naszym jeńcem wojennym; proszę siadać na konia za nią; rozrządzamy pana losem. — Ależ, rzekłem, nie mam zaszczytu znać szanownej matki pani; co ona powie?... — Pani Galley niema w Toune, rzekła panna de Graffenried, jesteśmy same, wracamy dziś wieczór i pan z nami“.

Słowa te podziały na mnie jak iskra elektryczna. Drżałem z radości, wskakując na konia panny de Graffenried, a kiedy trzeba było ją objąć aby się utrzymać, serce biło mi tak mocno, że aż ona to spostrzegła: rzekła, że i jej bije serce, z obawy przed spadnięciem. W danej sytuacji była to niemal zachęta do sprawdzenia: nie miałem odwagi. Całą drogę ręce moje obejmowały jej kibić dość wprawdzie ciasno, ale nie zmieniając położenia. Sądzę iż niejedna kobieta, przeczytawszy to, spoliczkowałaby mnie chętnie, i nie bez słuszności.

Przybyliśmy do Toune; osuszyłem się gruntownie, zjedliśmy

śniadanie. Następnie, trzeba było przystąpić do ważnej sprawy obiadu. Panny, krzątając się w kuchni, raz po raz dawały buziaki dzieciom szafarki; a biedny improwizowany kuchta patrzył na to, zżymając się z zazdrości. Posłano po zapasy do miasta, i wkrótce było z czego sporządzić dobry obiad, szczególnie pod względem łąkoci; nieszczęściem, zapomniano o winie. Zapomnienie to nie miało w sobie nic dziwnego ze strony dziewcząt, które nie używały tego trunku; ale mnie było dość nie na rękę, ponieważ liczyłem nieco na jego ośmielające działanie. One zdawały się również zmarzwione, może dla tej samej przyczyny, choć nie sądzę. Żywa i uroczą ich wesołość oddychała niewinnością, a zresztą cóżby, we dwie, zrobiły ze mną jednym? Posłały po wino w sąsiedztwo: nigdzie nie można było znaleźć, tak mieszkańcy tej okolicy są ubodzy i wstrzeźmieliwi. Kiedy panny ubolewały nad tem, odparłem, iż niema się czem kłopotać i że nie trzeba im wina by mnie upoić. Oto jedyna dworność, z jaką ośmieliłem się wyruszyć przez cały dzień; ale sądzę, że te szelmutki widziały po mnie dobrze, jak dalece było to prawdą.

Zasiedliśmy do obiadu w kuchni: przyjaciółki na ławkach, po dwóch bokach podłużnego stołu, gość między nimi, na zydelku. Co za obiad! co za uroczne wspomnienie! Poco, mogąc równie tanim kosztem smakować tak czystych i prawdziwych rozkoszy, ludzie uganiają się za innemi? Nigdy żadna wieczerza paryskich modniś nie dorównała temu obiadowi, nietylko wesołością, słodyczą uciech, ale i upojeniem zmysłów.

Po obiedzie, uchwaliliśmy małą oszczędność; miast wypić kawę, która została od śniadania, zachowaliśmy ją na podwieczorek wraz ze śmietanką i ciastkami, które panienki przywiozły ze sobą; dla podsycenia zaś apetytu, poszliśmy do sadu spożyć na deser trochę wiśni. Wszedłem na drzewo i rzucałem im całe garście owocu; one odrzucały mi pestki poprzez gałęzie. Raz, panna Galley, wysuwając fartuszek i przechylając wtył głowę, nadstawiła się tak dobrze, że pęk wisien wpadł prosto za gors; dopieroż było śmiechu!

Mówilem sam do siebie w duchu: Czemuż usta moje nie są wiśnią! jakżebym chętnie cisnął im je, z jak szczerego serca!

Dzień spłynął na igraszkach pełnych swobody, a zarazem niewinności. Ani jednego dwuznacznego słowa, ani jednego ryzykownego żartu: a skromność ta nie była jakimś narzuconym przymusem; wynikała sama z siebie; ton ten poddawały nam serca. Słowem, skromność moja — kto inny powie głupota — była taka, iż największą poufałością, na którą sobie pozwoliłem, był jeden jedyny pocałunek w rękę panny Galley. Prawda, iż okoliczności, w których się to stało, dodawały ceny temu lekkiemu faworowi. Byliśmy sami; ja oddychałem z trudnością, ona miała spuszczone oczy. Usta moje, miast szukać wyrazów, ośmieliły się przycisnąć do jej dłoni, którą ona cofnęła natychmiast, patrząc na mnie wszelako oczyma bynajmniej nie wyrażającemi gniewu. Nie wiem, cobym jej powiedział: ale weszła przyjaciółka, która w tej chwili wydała mi się szpetną.

Wkońcu, panny przypomniały sobie, iż nie należy czekać nocy z powrotem do miasta. Ledwo mieliśmy czas zdążyć przed zmierzchem; ruszyliśmy spiesźnie sadowiąc się tak jakeśmy jechali. Gdybym miał odwagę, odmieniłbym ten porządek; spojrzenie panny Galley zapadło mi w serce; ale nie śmiałem nic powiedzieć, a nie jej rzeczą było to podsuwać. W drodze, powtarzaliśmy sobie, że szkoda iż ów dzień się skończył; ale nie mogliśmy rzec aby nam się wydał krótki, umieliśmy go przedłużyć tysiącem zabaw, wypełniając go w najmilszy sposób.

Rozstałem się z dziewczętami mniejwięcej tam skąd mnie zabrały. Z jakimż żalem rozłączyliśmy się! Z jakąż radością układaliśmy projekty nowego spotkania! Dwanaście godzin spędzonych razem stanowiły dla nas wieki całe. Słodkie wspomnienie tego dnia nie kosztowało tych lubych dziewczątek żadnej ofiary; tkliwa przyjaźń między nami trojgiem z pewnością warta była tyleż, co inne żywsze słodczyce, przy których nie mogłaby się ostać: kochaliśmy się bez tajemnicy i wstydu i chcieliśmy się zawsze tak kochać. Czystość

obyczajów ma swą rozkosz, wyższą może od innej, ponieważ nie podlega zamięnieniu: odczuwa się ją wciąż jednako. Co do mnie, wiem, że wspomnienie tak pięknego dnia wzrusza, czaruje mnie więcej, bardziej przypada mi do serca, niż pamięć jakichkolwiek rozkoszy kosztowanych w życiu. Nie zdawałem sobie zbyt jasno sprawy, jakie były me pragnienia w stosunku do tych dwóch uroczych istot, ale pociągały mnie obie w wysokim stopniu. Nie powiadam iż, gdybym był mocen pokierować wypadkami, serce me stanęłoby na rozdrożu; owszem, czułem w mych skłonnościach niejaką różnicę. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł być kochankiem panny de Grafenried; ale, mogąc wybierać, sędzę, że wolałbym ją za powiernicę. Jakkądz się rzeczy miały, rozstając się z niemi, miałem uczucie, iż nie potrafiłbym już żyć bez obu. Któżby mi powiedział, że nie ujrzę ich już w życiu i że na tem się skończy ta ulotna miłostka?

Ci, którzy będą czytali te karty, uśmiechną się pewnie z mych przygód miłosnych, widząc, jak, po wielu wstębach, najdalej posunięte kończą się pocałunkiem w rękę. O czytelnicy! nie dajcie się zmylić pozorom! Więcej może zaznałem rozkoszy w moich miłościach, kończąc na owym pocałunku w rękę, niż wy ich zakosztujecie kiedy, zaczynając conajmniej od tego.

Wentura, który położył się poprzedniego dnia bardzo późno, wrócił do domu wkrótce po mnie. Tym razem, ujrzałem go z mniejszą przyjemnością niż zwykle i nie pozostało mi w myśli spowiadać mu się z tego dnia. Panienki wyrażały się o nim z niewielkim szacunkiem i zdawały się nierade, dowiedziawszy się iż znajduję się w tak niedobrych rękach: to mnie zraziło nieco; zresztą, wszystko co mnie odrywało od myśli o nich, mogło mi być tylko przykre. Wentura przywołał mnie niebawem do opamiętania, uświadamiając mi położenie. Było ono zbyt krytyczne aby móc trwać. Jakkolwiek wydawałem na siebie bardzo mało, zapasik mój miał się ku końcowi; poczem zostawałem bez środków. Żadnych wiadomości od mamusi; nie wiedziałem co z sobą począć i czułem okrutne ściśnięcie

serca, widząc, iż przyjaciela panny Galley czeka, w perspektywie, życie z jałmużny.

Wentura powiedział mi, że wspomniał o mnie sędziemu powiatowemu, że jutro chce mnie doń zaprowadzić na obiad: twierdził, iż człowiek ten będzie mi mógł dopomóc przez swoich przyjaciół. Zresztą, znajomość była korzystna sama przez się: człowiek piśmienny, wykształcony, miły w pożyciu, sam utalentowany i ceniący talent u drugich. Następnie, mieszając, wedle swego obyczaju, rzeczy poważne do najpłochszej swywoli, pokazał mi ładny kuplecik, przysłany mu z Paryża, na nutę arji z opery Moureta, którą podówczas dawano. Kuplet ten tak spodobał się panu Simon (nazwisko sędziego), że pragnął ułożyć nowy, niejako w odpowiedzi na ten, na tę samą melodję: polecił Wenturze, aby napisał drugi, ten zaś uparł się, bym ja skomponował trzeci: powiadał, że to będzie bardzo zabawne, taka wojna na kuplety.

W nocy, nie mogąc usnąć, skleciłem jak umiałem mą strofkę. Jak na pierwsze wiersze w życiu, były one wcale znośne; lepsze z pewnością, a przynajmniej ułożone z większym smakiem, niżbym to był zdolny uczynić na dobę przedtem, ile że przedmiot kręcił się koło bardzo czulego tematu, do którego serce moje wybornie było nastrojone. Pokazałem rano kuplet Wenturze, spodobał mu się. Schował go do kieszeni, nie mówiąc nic czy i sam co ułożył. Udaliśmy się do pana Simon, który przyjął nas nader uprzejmie. Rozmowa była przyjemna: nie mogło być inaczej w towarzystwie dwóch ludzi pełnych dowcipu i odczytania. Co do mnie, trzymałem się swej roli: przysłuchiwałem się i milczałem. Ani jeden ani drugi nie wspomnieli o kuplicie; ja również; i nigdy, o ile mi wiadomo, nie było mowy o moim utworze.

Pan Simon zdawał się rad z mego zachowania; to było mniej więcej wszystko, co mógł o mnie wiedzieć z tej wizyty. Spotykał mnie już poprzednio u pani de Warens, nie zwracając na mnie większej uwagi. Tak tedy, dopiero ten obiad mogę liczyć za datę

naszej znajomości, która, biorąc praktycznie, nie przydała mi się na nic, ale z której wyciągnąłem inne, cenniejsze może korzyści; i dla nich wspominam ją zawsze ze szczerą przyjemnością.

Nie mogę pominąć milczeniem wyglądu tej osobistości; znając go bowiem jedynie z tego co tu mówię o nim jako urzędniku oraz o talentach które stanowiły przedmiot jego ambicji, niktby się nie domyślił jego zewnętrznej postaci. Sędzia Simon miał z pewnością nie więcej niż dwie stopy wysokości. Nogi jego, proste, drobne i nawet dość długie, byłyby mu przydały wzrostu, gdyby były prostopadłe; ale rozchodziły się ukośnie jak ramiona bardzo otwartego kompasu. Korpus był nietylko krótki, ale szczupły i niesłychanie drobny. Wyobrażam sobie, iż, nagi, musiał być podobny do szarańczy. Głowa, naturalnej wielkości, o regularnych rysach, szlachetnem wejrzeniu, z dość ładnymi oczyma, zdawała się sztuczną głową osadzoną w kikucie. Mógłby sobie oszczędzić wydatków na ubranie, wielka peruka ubierała go sama od stóp aż do głowy.

Miał dwa rodzaje głosu, zupełnie odmienne, które przeplatały się wciąż kiedy rozmawiał, wywołując tem zabawne zrazu, ale wkrótce bardzo przykre kontrasty. Jeden głos był poważny i dźwięczny; był to, jeżeli można tak rzec, głos jego głowy. Drugi, jasny, ostry i przenikliwy, to był głos jego ciała. Kiedy bardzo uważał na siebie, kiedy mówił z namysłem, oszczędzając oddechu, mógł mówić stale swym głębokim głosem; ale ilekroć ożywił się i wziął ton nieco żywszy, głos brzmiał jak świstanie na kluczu i z największą trudnością przychodziło mu wrócić do basu.

Przy tej postaci, którą tu odmalowałem bez najmniejszej przesady, pan Simon był wielki galant, komplemencista i aż do kokieteryj dbały o swój wygląd. Ponieważ chciał się zawsze wydać najkorzystniej, udzielał chętnie audjencji rano, w łóżku; widząc tę piękną głowę na poduszkach, nikt nie przypuszczał nawet, że to jest wszystko. To dawało niekiedy powód do scen, które, jestem pewien, całe Annecy przypomina sobie jeszcze.

Jednego dnia, leżąc w łóżku, lub raczej na łóżku, sędzia ocze-

kiwał kljentów, strojny w cienki i biały czepek nocny, z dwoma grubemi różowemi pomponami. Przychodzi jakiś wieśniak i puka. Służąca gdzieś wyszła. Sędzia, słysząc powtórne pukanie, woła: Proszę! Słowo to, wymówione zbyt głośno, wymknęło mu się dyszkan-tem. Człowiek wchodzi; szuka skąd wyszedł ten głos kobiecy; a widząc w łóżku czepek z fontaziem, chce wyjść, tłumacząc się uniżenie przed jaśnie panią. Pan Simon wpada w złość, krzycząc przez to jeszcze cienie. Chłopek, utwierdzony w pomyłce, czując się obrażony, bierze z innego tonu, wymyśla rzekomej pani od ulicznic i ścierek, i wykrzykuje, iż pan sędzia nie świeci w domu zbyt dobrym przykładem. Sędzia, wściekły, mając za jedyną broń nocnik przy łóżku, już miał go rzucić nieborakowi na głowę, kiedy wbiegła służąca.

Ten karzełek, tak upośledzony przez przyrodę, otrzymał od niej hojne dary umysłu, który, z natury pełen wdzięku, umiał jeszcze przyozdobić. Mimo iż, wedle powszechnego zdania, był niezłym prawnikiem, nie lubił swego zawodu. Rzucił się w literaturę nie bez powodzenia. Zdobył w niej ów błyszczący polor, ów kwiat który daje tyle uroku w obcowaniu, zwłaszcza z kobietami. Znał na pamięć wszystkie anegdotki światowych kulis: umiał je znakomicie podać, opowiadając z przejęciem, tajemniczo, jako nowalje ostatniego dnia, rzeczy, które zdarzyły się przed sześćdziesięciu laty. Uprawiał nieco muzykę i śpiewał przyjemnie swoim męskim głosem; słowem, jak na biurokrate, posiadał wiele miłych talentów. Tak wytrwale wdzięczzył się do wszystkich dam w Annecy, aż wreszcie zyskał wśród nich prawo obywatelstwa; dreptał za ich spódniczką jak piesek. Miał nawet pretensje zdobywcy serc, co je serdecznie bawiło. Niejaka pani d'Epagny powiada, iż naturalnym kresem szczęśliwości było dlań pocałować kobietę w kolano.

Ponieważ znał wiele dobrych książek i chętnie o nich mówił, rozmowa z nim była nietylko zajmująca ale i pouczająca. Później, kiedy nabrałem zamiłowania do nauk, pielegnowałem tę znajomość, z wielką dla siebie korzyścią. Chodziłem często do niego z Cham-

béri, gdzie mieszkałem wówczas. Chwalił i podsycał mój zapal, dając mi, co do lektury, dobre wskazówki, z których nieraz korzystałem. Na nieszczęście, w tem wątleń ciele mieszkała tkliwa dusza. W kilka lat później dotknęło go jakieś przykre wydarzenie i z tego umarł. Szkoda go, był to poczciwy człeczyna, który bawił zrazu, ale którego wkońcu musiało się pokochać. Mimo iż stykaliśmy się niewiele, otrzymałem od niego sporo użytecznych wskazówek; sądziłem tedy, iż mogę, przez wdzięczność, poświęcić mu tych parę słów wspomnienia.

Skoro znalazłem chwilę czasu, pobiegłem na ulicę gdzie mieszkała panna Galley, pieszcząc nadzieję, iż spotkam kogoś wchodzącego lub wychodzącego, albo że bodaj okno się uchyli. Nic, ani żywej duszy; dom był tak cichy i zamknięty, jakgdyby w nim nikt nie mieszkał. Ulica była mała i odludna; łatwo było na niej zauważyć człowieka: od czasu do czasu ktoś przechodził w pobliżu. Zacząłem mieć bardzo głupią minę: zdawało mi się, że każdy zgaduje poco tu sterczę, i ta myśl przyprawiała mnie o tortury, zawsze bowiem nad własną przyjemność przekładałem honor i bezpieczeństwo osób które mi były drogie.

Wreszcie, znużony rolą hiszpańskiego kochanka i nie mając gitary, postanowiłem napisać do panny de Graffenried. Bylbym wolał napisać wprost do jej przyjaciółki, ale nie śmiałem; bardziej zresztą wypadało mi pisać do tej, przez którą zawarłem tę znajomość i z którą byłem bliżej. Napisawszy list, zaniósłem go do panny Giraud, tak jak się umówiłem z panienkami. Panna Giraud była hafciarką i, pracując niekiedy u pani Galley, miała wstęp do jej domu. Pośredniczka nie wydała mi się szczęśliwie dobrana; ale bałem się że, gdybym robił trudności co do tej drogi, nie wskażą mi żadnej innej. Co więcej, nie śmiałem się przyznać, że ta brzydula miała na mnie sama jakieś widoki. Ponizowało mnie, iż ona, w stosunku do mnie, mogła się uważać za osobę tej samej płci co moje urocze przyjaciółki. Ostatecznie, wolałem to pośrednictwo niż żadne, i puściłem się na hazard.

Za pierwszym słowem panna Giraud przejrzała mnie, co nie było trudno. Gdyby nawet list przeznaczony dla panienek nie mówił sam za siebie, zdradziłaby mnie głupia i zakłopotana mina. Można się domyślić, że to zlecenie nie sprawiło jej przyjemności: podjęła się go wszelako i dopełniła wiernie. Nazajutrz rano, pobiegłem do niej i znalazłem odpowiedź. Jakże mi pilno było wyjść, by ją odczytywać i całować dowoli! nie potrzebuję tego powiadać; uważam natomiast, iż trzeba mi podnieść zachowanie się panny Giraud, która okazała w tem więcej delikatności i umiarkowania, niżbym się spodziewał. Mając dość zdrowego rozsądku, aby widzieć, że, w swoich trzydziestu siedmiu latach, ze swemi zajęczemi oczami, zatabaczonym nosem, chrypliwym głosem i czarniawą cerą nie miała szans powodzenia wobec dwóch młodych osób pełnych wdzięku i w rozkwicie piękności, nie chciała ani zdradzić ich ani im służyć i wolała raczej mnie stracić, niż oddać mnie w ich ręce.

(1732). Już od pewnego czasu, Merceret, nie mając żadnej wiadomości o pani, wybierała się z powrotem do Fryburga; panna Giraud wpłynęła na jej decyzję. Zrobiła więcej, podsunęła jej myśl, że byłoby dobrze aby ją ktoś odprowadził i poddała mnie. Merceret, która również nie czuła do mnie wstrętu, zasmakowała odrazu w pomysle. Oznajmiły mi o tem tegoż samego dnia jako o ubitej sprawie; że zaś ten sposób rozrządzania moją osobą był mi dość po myśli, zgodziłem się, uważając całą podróż za rzecz najwyższej tygodnia. Panna Giraud, która miała inne poglądy, zajęła się przygotowaniem. Trzeba było wyznać stan moich finansów. Zaradzono i na to; Merceret podjęła się opędzić kosztu, aby zaś odbić tę nadwyżkę, zdecydowano, na mą prośbę, że wyśle naprzód swój nieduży pakunek i że drogę odbędziemy wędrując zwolna pieszo. Tak się też stało.

Przykro mi, że muszę się chwalić miłością tylu dziewcząt; ale, ponieważ nie mam powodu zbyt się wbijać w dumę z korzyści które wyciągnąłem z tych wszystkich amorów, sądzę, iż mogę mówić prawdę bez skrupułu. Merceret, młodsza i mniej szczwana niż

Giraud, nigdy nie była ze mną tak otwarcie zalotna; ale naśladowała mój ton, sposób mówienia, powtarzała moje odezwania, miała dla mnie wszystkie względy jakie ja powinienem był mieć dla niej, i obstawała zawsze przy tem (jako że była bardzo bojaźliwa) abyśmy sypiali w jednym pokoju: wspólność, która rzadko pozostaje w tych skromnych granicach w czasie podróży dwudziestoletniego chłopca z dwudziestopięcioletnią dziewczyną.

Mimo to, nie przekroczyła ich tym razem. Naiwność moja sięgała tak daleko, iż, mimo że Merceret wcale była warta grzechu, w całej tej podróży nie przyszła mi na myśl, nie mówię pokusa, ale nawet najdalsza idea jej możliwości. Gdyby nawet ta idea wpadła mi do głowy, byłem zbyt głupi aby z niej skorzystać. Nie wyobrażałem sobie, w jaki sposób dziewczyna i chłopiec mogą dojść do tego momentu, aby się razem położyć do łóżka; myślałem, że trzeba całych wieków, by doprowadzić do tej straszliwej poufności. Jeżeli biedna Merceret, biorąc mnie na swój koszt, rachowała na tego rodzaju odszkodowanie, przeliczyła się grubo; przybyliśmy do Fryburga zupełnie tak jak wyruszyliśmy z Annecy.

Przechodząc przez Genewę, nie wstępowałem do nikogo, ale, gdym znalazł się na moście, byłem bliski omdlenia. Nigdy nie zdarzyło mi się oglądać murów tego błogosławionego miasta, nie zdarzyło mi się ich przestąpić, żeby nie doznawać jakiejś omdłości serca, wynikłej ze zbytku rozczulenia. Szlachetny obraz wolności podnosił mą duszę, a zarazem wizje równości, jedności, prostoty obyczajów wzruszały mnie do łez i budziły najwyższą żalność iż utraciłem te wszystkie skarby. W jakimż byłem błędzie, ale jakże błąd ten był naturalny! Zdawało mi się, iż widzę w mej ojczyźnie to wszystko dobro, ponieważ nosiłem je w sercu.

Trzeba było przechodzić przez Njon. Miąć, nie oglądając ojca! Gdybym miał odwagę to uczynić, umarłbym chyba z żalu. Zostawiłem Merceret w gospodzie i poszedłem, na los szczęścia, do ojca. Ach! jakże płonne były me obawy! Na mój widok, dusza jego dała upust ojcowskim uczuciom, któremi była wezbrana. Ileż

leż wylaliśmy obejmując się wzajem! Mniemał zrazu, iż wróciłem na stałe. Opowiedziałem mu swe dzieje i zwierzyłem zamysły. Zwalczal je dość miękko. Ukazał mi niebezpieczeństwa, na które się narażam, mówił że, im wcześniej człowiek się opamięta, tem dlań lepiej. Pozatem, nie kusił się nawet zatrzymywać mnie przemocą, i w tem uważam że miał słusność: ale to pewna, iż nie próbował wszystkiego co było w jego mocy by mnie przyciągnąć do siebie, czy że, po tem co uczyniłem, mniemał iż niema dla mnie powrotu, czy że sam był w kłopotcie, co począć z chłopakiem w moim wieku. Dowiedziałem się później, iż powziął on o mej towarzyszcze wyobrażenie bardzo niesprawiedliwe i odległe od prawdy, ale zresztą dość naturalne. Macocha, poczciwa kumoszka, nieco oblesna, próbowała nibyto zatrzymać mnie na wieczery. Nie zostałem; ale rzekłem, że mam nadzieję zatrzymać się dłużej wracając i zostawiłem u nich mały pakunek, który przybył za mną statkiem i który sprawiał mi kłopot. Ruszyłem w drogę wczesnym rankiem, niezmiernie rad, że widziałem ojca i że miałem odwagę spełnić obowiązek.

Przybyliśmy szczęśliwie do Fryburga. Pod koniec podróży, czułość panny Merceret osłabła nieco. Od chwili przybycia, odnosiła się już do mnie bardzo chłodno; ojciec jej, który nie opływał w dostatki, również nie okazywał mi zbytnej serdeczności: wobec tego, ulokowałem się w gospodzie. Odwiedziłem ich nazajutrz; zaprosili mnie na obiad, przyjąłem. Rozstaliśmy się bez leż; wieczorem, powróciłem do mej nory i ruszyłem z powrotem, na trzeci dzień po przybyciu, nie wiedząc sam dobrze dokąd się udać.

Oto jeszcze jedna okoliczność w mojem życiu, w której Opatrzność podsuwała mi właśnie to, czego mi było trzeba aby pędzić do końca szczęśliwe i spokojne dni. Merceret była to bardzo dobra dziewczyna, bez jakichś świątecznych zalet, nie ładna, ale też wcale nie brzydka; spokojna, rozsądna, pomijając przelotne napady humorów, które wyładowywały się w płaczu i nigdy nie miały burzliwych następstw. Miała do mnie szczerą skłonność; byłbym ją mógł zaślubić bez trudności i uprawiać rzemiosło jej ojca. Moje zamiło-

wanie do muzyki pozwoliłoby mi polubić ten zawód ¹⁾). Byłbym się osiedlił we Fryburgu, mieścinie nie ładnej ale zamieszkałej przez dobrych ludzi. Postradałbym z pewnością wielkie rozkosze życia, ale żyłbym spokojnie do ostatniej godziny; a mogę lepiej niż ktokolwiek inny wiedzieć, że niema się co i wahać przy takiej zamianie.

Wróciłem nie do Njonu, ale do Lozanny. Chciałem się nasycić widokiem tego pięknego jeziora, które stamtąd można oglądać w najszerszym widnokręgu. Istotnie motywy, od których bywały zależne me postanowienia, zazwyczaj były niewiele poważniejszej natury. Odległe horyzonty rzadko działają na mnie dość silnie, by mnie pobudzić do czynu. Niepewność przyszłości zawsze kazała mi patrzeć na rzeczy dalsze jako na czcze mamidła. Mogę, jak każdy, poddawać się złudom nadziei, byle mnie to nic nie kosztowało; ale gdy trzeba długo się mozolić, oho! już mnie niema. Lada przyjemność, która nawinie się po drodze, kusi mnie więcej niż wszystkie rozkosze rajy. Wyjątek stanowi przyjemność, po której następuje troska: ta mnie nie kusi, lubię jedynie radości czyste, takich zaś nigdy nie można zakosztować, kiedy się wie, iż czeka po nich zgryzota.

Pragnąłem zresztą dostać się do jakiegokolwiek miasteczka, i to im bliżej tem lepiej; zabłąkawszy się bowiem w drodze, znalazłem się wieczorem w Moudon, gdzie wydałem resztę pieniędzy, z wyjątkiem dziesięciu centów, które poszły nazajutrz na obiad. Przybywszy wieczorem do wioski w pobliżu Lozanny, wszedłem do karczmy, nie mając grosza na zapłacenie noclegu i nie wiedząc co z sobą począć. Byłem bardzo głodny; przybrałem minę pewną siebie i zażądałem wieczerzy, jakgdybym miał czem zapłacić. Udałem się spokojnie na spoczynek, nie myśląc o niczem; rano, pośniadawszy i obliczywszy się z gospodarzem, chciałem, za mą należność, oddać w zastaw kamizelkę. Zaczny człowiek nie przyjął ofiary; po-

¹⁾ Rousseau nie mówi jaki; może organisty?

wiedział, iż, dzięki niebu, nie obdarł nigdy nikogo, że zaś nie chce zaczynać tego dla kilkudziesięciu groszy, mogę zachować kamizelkę, a zapłacę kiedy będę mógł. Uczułem się wzruszony jego dobrocią, ale mniej niżbym powinien i niż byłem nieraz później, wspominając to zdarzenie. Odesłałem mu pieniądze z podziękowaniem, i kiedy, w piętnaście lat później, wracając z Włoch przejeżdżałem przez Lozannę, bardzom żałował, iż zapomniałem nazwiska karczmy i gospodarza. Byłbym go odwiedził; sprawiłoby mi szczerą przyjemność przypomnieć mu jego dobry uczynek i dowieść, że nie trafił na niewdzięcznika. Usługi, ważniejsze z pewnością, jakich znałem od ludzi, ale świadczone z mniejszą prostotą, nie wydały mi się tak godne wdzięczności, jak prosta i skromna ludzkość tego zacnego człowieka.

Zbliżając się do Lozanny, rozmyślałem nad swem rozpaczliwym położeniem, oraz nad środkami wydobycia się zeń bez zdradzenia swej nędzy wobec macochy. W ciągu pielgrzymki nieraz porównywałem się w myśli do przyjaciela Wentury w chwili jego przybycia do Annecy. Rozpaliłem się tak tą ideą, że, nie myśląc o tem iż nie mam ani jego uroku ani talentów, nabiłem sobie głowę konceptem, aby odegrać w Lozannie małego Wenturę, dawać lekcje muzyki, której sam nie umiałem, i podać się za przybywającego z Paryża, gdzie nigdy w życiu nie byłem. Powziąwszy ten piękny zamiar, ale mając jeszcze na tyle zastanowienia by się nie pchać między zawodowych muzyków, zacząłem się, na początek, wywiadywać o jaką oberżę, gdzieby można żyć dobrze i tanio. Wskazano mi niejakiego Perrotet, który odnajmował stancje z utrzymaniem. Ów Perrotet okazał się najpoczeiwszym człowiekiem w świecie, przyjął mnie bardzo dobrze. Wytrzymałem przed nim swoje kłamstewka, tak jak je sobie ułożyłem. Obiecał, że będzie o mnie mówił i że postara się znaleźć mi uczniów; powiedział, iż mogę mu zapłacić dopiero wówczas, gdy sam coś zarobię. Pensja wynosiła pięć talarów; nie było to wiele, ale bardzo wiele dla mnie. Poradził mi, bym się zgodził na początek na pół-pensji, która obejmowała na obiad dobrą

zupę bez dalszego ciągu, ale zato dostatnią wieczerzę. Przystałem. Dobry Perrotet ofiarował mi wszystkie te usługi najserdeczniej w świecie i nie oszczędzał starań, aby mi być użytecznym.

Czem się dzieje, iż, spotkawszy tylu dobrych ludzi w młodości, tak mało znajduję ich w późniejszym wieku? Czyżby rasa ich się wyczerpała? Nie; ale sfera, w której zmuszony jestem szukać ich dziś, nie jest tą w której znajdowałem ich wówczas. Wśród ludu, gdzie wielkie namiętności odzywają się jedynie zrzadka, naturalne uczucia częściej przychodzą do głosu. W wyższych klasach zduszone są one zupełnie i, pod maską uczucia, przemawia zawsze jedynie interes lub próżność.

Napisałem z Lozanny do ojca; odesłał mi tobolek i dołączył wyborne rady, z których powinienem był lepiej skorzystać. Zaznaczyłem już, iż zdarzały się w mojem życiu chwile niepojętego zamroczenia, w których przestawałem być sobą. Oto jeszcze jeden typowy przykład. Aby zrozumieć, jak miałem przewrócone w głowie, do jakiego stopnia byłem niejako *zwenturyzowany*, trzeba się tylko przypatrzeć, ile szaleństw nagromadziłem. Jestem tedy nauczycielem śpiewu, nie umiejąc odczytać z nut jednej melodji; gdybym nawet skorzystał z sześciu miesięcy spędzonych u Mistrza, nigdyby to nie wystarczyło; prócz tego, uczyłem się tam z cudzą pomocą; to dla mnie dość abym się uczył licha. Występując jako genewski Paryżanin i jako katolik w kraju protestanckim, uważałem, iż, wraz z religją i ojczyzną, należy mi odmienić nazwisko. O ile mogłem, wciąż starałem się zbliżyć do pierwowzoru. On mienił się *Venture de Villeneuve*, ja zrobiłem anagram z mego nazwiska *Rousseau* na *Vaussore* i nazwałem się *Vaussore de Villeneuve*. *Wentura* posiadał zasady kompozycji, choć nikomu o tem nie wspominał; ja, nie posiadając ich wcale, chwaliłem się przed całym światem tą umiejętnością; niezdolny sklecić najmniejszej melodji, podawałem się za skończonego muzyka. To nie wszystko: przedstawiony panu de *Treytorens*, profesorowi prawa, który lubił muzykę i urządził u siebie koncerty, chciałem dać próbkę swego talentu

i zacząłem komponować utwór na koncert u niego, tak bezczelnie, jakgdybym miał o tem pojęcie. Miałem wytrwałość porania się przez dwa tygodnie z tem pięknem dziełem, skopjowałem je na czysto, rozpisałem partje i rozdałem je z taką pewnością, jakgdyby to było arcydzieło harmonji. Wreszcie — rzecz trudna do wiary, a jednak prawdziwa — aby godnie uwieńczyć tę wzniosłą produkcję, umieściłem w niej na końcu menuetek, który obiegał wówczas ulice i który może wszyscy przypomną sobie jeszcze po tych tak znanych słowach:

Quel caprice!
Quelle injustice!
Quoi! ta Clarisse
Trahirait tes feux! etc.

Wentura nauczył mnie tej melodji z akompanjamentem i z pluwą trawestacją, dzięki której zachowałem ją w pamięci. Umieściłem tedy na końcu utworu ten menuet i akompanjament, usuwając słowa i podając go za własną kompozycję z takim tupetem, jakgdybym miał do czynienia z mieszkańcami księżycy.

Schodzą się tedy wszyscy, aby wykonać mój utwór. Tłumaczą każdemu rytmikę, sposób wykonania, prowadzenie głosów; krzątają się jak mogą. Strojenie instrumentów trwa pięć czy sześć minut, które były dla mnie sześcioma wiekami. Wreszcie, wszystko gotowe, uderzam rulonem papieru o pulpit na znak rozpoczęcia. Robi się cicho. Poważnie daję takt batutą, zaczynają... Nie, odkąd istnieją na świecie opery francuskie, w życiu nie słyszał nikt podobnego harmideru. Cokolwiekby ktoś mógł myśleć o mym rzekomym talencie, efekt przeszedł oczekiwanie. Grajkowie dusili się od śmiechu, słuchacze otwierali szeroko oczy: zatkiliby chętnie w zamian uszy, ale nie było sposobu. Nielitościwi symfoniści, chcąc sobie uczynić zabawę, różni tak swoje partje, iż mogli przyprawić o pęknięcie błonę bębenkową grubości podešwy. Miałem odwagę dyrygować bez przerwy dalej, pocąc się coprawda wielkimi kroplami,

ale powstrzymywany wstydem, nie śmiejąc rzucić wszystkiego i uciec gdzie pieprz rośnie. Na pociechę, słyszałem dokoła, jak słuchacze powtarzali sobie, a raczej mnie do ucha: „Toć to czyste błazeństwo!“, albo: „Cóż za opętana muzyka!“, inny: „Cóż za sabat piekielny!“ Biedny Janie Jakóbie! w tym okrutnym momencie, nie spodziewałeś się pewnie, iż, pewnego dnia, wobec króla Francji i całego dworu, tony twoje wywołają szmer zdumienia i oklask zachwytu, i że, we wszystkich łóżach, uroczu kobiety będą szeptały półgłosem: „Cóż za czarowne dźwięki! co za boska muzyka! jak te melodje wnikają do serca!“

Ale co wprawiło wszystkich w doskonały humor, to menuet. Ledwie zaczęto pierwsze takty, usłyszałem ze wszystkich stron wybuchy śmiechu. Wszyscy wieszowali mi gustu; zapewniano, iż ten menuet rozślawi me imię i że godzien jest, by go wszędzie śpiewano. Nie potrzebuję chyba malować swej męki i dodawać, iż sumienie na nią zasłużyłem.

Nazajutrz, jeden z symfonistów, nazwiskiem Lutold, przyszedł mnie odwiedzić i był tyle pocziwy, iż nie wieszował mi przynajmniej sukcesu. Poczucie mego szaleństwa, wstyd, żal, rozpacz z powodu położenia do jakiego się doprowadziłem, niemożność stłumienia głosu serca w chwilach ciężkiej próby, wszystko to sprawiło, iż otworzyłem mu duszę; dałem folgę łzom i, miast zadowolić się wyznaniem nieuctwa, powiedziałem mu wszystko, prosząc o sekret, który mi przyrzekł i którego dochował tak jak można się spodziewać. Tego samego dnia, cała Lozanna wiedziała kim jestem: ale, co szczególnie, nikt tego mi nie okazał, nawet pocziwy Perrotet, który, mimo wszystko, nie przestał mnie darzyć dachem i posiłkiem.

Żyłem tedy, ale bardzo smutnie. Taki początek kariery nie uczynił mi pobytu w Lozannie zbyt przyjemnym. Uczniowie nie cisnęli się tłumnie; uczeniicy ani jednej; a nikogo z miasta. Miałem wszystkiego dwóch czy trzech tępych szwabów, których niezdarstwo dorównywało memu nieuctwu i którzy, w moich rękach, nie wyrosli na wielkich znawców sztuki wokalnej. Wezwano mnie do

jednego domu, gdzie panna, mała zmijska, zrobiła sobie uciechę znosząc całe mnóstwo partycyj, z których nie umiałem odczytać ani nuty, później zaś miała złośliwość odśpiewania tego wszystkiego przed „panem nauczycielem“, aby mu pokazać jak się to robi. Tak dalece nie byłem zdolny czytać *a vista*, że, w owym wspaniałym koncercie, który opisałem, nie umiałem ani przez chwilę podążać za wykonaniem, bodaj natyle aby zdać sobie sprawę, czy w istocie grano to, co miałem przed oczyma i co sam napisałem.

Wśród tylu upokorzeń, czerpałem bardzo słodką pociechę w wiadomościach, które otrzymywałem od czasu do czasu od dwóch uroczych przyjaciółek. Zawsze stwierdzałem że pleć niewieścia ma wielką umiejętność pocieszania; to też nic tak nie łagodzi mych strapień w przeciwnościach losu, jak czuć że jakaś luba istota bierze w nich udział. Prawda, iż korespondencja urwała się niebawem i już się nie nawiązała: ale to z mojej winy. Zmieniając miejsce pobytu, zapomniałem podać adres, a niebawem, zmuszony okolicznościami do myślenia wciąż o sobie samym, zapomniałem o nich zupełnie.

Długo już nie mówiłem słowa o mej najlepszej mamusi: ale ktoby mniemał, iż zapomniałem o niej, myliłby się bardzo. Nie przestałem o niej myśleć, pragnąłem ją odszukać, nie tylko dla potrzeb egzystencji, ale daleko więcej dla potrzeby serca. Przywiązanie do niej, mimo iż tak żywe i serdeczne, nie przeszkadzało mi kochać się w innych; ale było to inaczej. Niewątpliwie, i ona i te inne zawdzięczały pierwotnie mą czułość swym powabom; ale u innych, rzeczy te były ściśle z sobą związane i miłość nie przetrwałaby straty wdzięków; gdy mamusia mogłaby się zestarzeć i zbrzydnać, nie tracąc nic z mego przywiązania. Hołd, zrazu oddany urodzie, serce moje przelało w całej pełni na jej osobę i, mimo wszelkich przeobrażeń, byleby to zawsze była ona, uczucia moje nie mogły się zmienić. Wiem, że byłem jej winien wdzięczność; ale, doprawdy, nawet nie myślałem o tem. Czyby coś uczyniła dla mnie czy nie, w niczem nie zmieniłoby to istoty rzeczy. Kochałem ją nie

z obowiązku, ani z interesu, ani z przywiązania; kochałem, bo byłem stworzony aby ją kochać. Kiedy zdarzyło mi się zakochać w innej, rozpraszało mnie to nieco, przyznaję, i myślałem wówczas o niej mniej często; ale myślałem z tą samą przyjemnością, i nigdy, czy byłem zakochany czy nie, nie zdarzyło mi się wspomnieć o mamusi, abym natychmiast nie uczuł, że nie może być dla mnie prawdziwego szczęścia, o ile będę zdala od niej.

Mimo iż nie miałem o niej wiadomości od tak dawna, ani na chwilę nie wierzyłem abym miał zupełnie ją postradać, ani żeby ona mogła o mnie zapomnieć. Powiadałem sobie: Prędzej czy później, dowie się o mej włóczędze i da mi jakiś znak życia; odnajdę ją, pewien jestem. W oczekiwaniu, słodko mi było przebywać w kraju który był jej krajem, chodzić po ulicach po których ona chodziła, koło domów w których ona mieszkała; a wszystko na podstawie przypuszczeń, jednym bowiem z mych niedorzecznych dziwactw było to, iż nie śmiałem się nigdy dowiadywać o nią, ani też wymawiać jej imienia bez absolutnej konieczności. Zdawało mi się, że, wymawiając jej imię, obnażam wszystkie uczucia które ona budzi we mnie, że usta moje odsłaniają tajemnicę mego serca, i że narażam, do pewnego stopnia, ją samą. Sądzę nawet, że mieszała się z tem i pewna obawa, aby ktoś nie rzekł o niej czegoś złego. Mówiono dużo o jej postępkach, a trochę i o sposobie życia. Z obawy by nie powiedziano czegoś, czegobym nie chciał słyszeć, wolałem, aby nie mówiono mi o niej wcale.

Ponieważ uczniowie nie zabierali mi zbyt wiele czasu, rodzinne zaś miasto mamusi odległe było tylko o cztery mile od Lozanny, zrobiłem tam wycieczkę na parę dni, podczas których nie opuszczało mnie ani na chwilę najśłodsze wzruszenie. Widok genewskiego jeziora i jego wspaniałych wybrzeży miał zawsze w moich oczach szczególny urok, którego nie umiałbym wytłumaczyć i który nie wypływa jedynie z piękności krajobrazu, ale z czegoś tkwiącego głębiej, co mnie przejmuje i rozczula. Za każdym razem, kiedy zbliżam się do Vaud, doznaję jakiegoś złożonego uczucia: wcho-

dzi w nie wspomnienie pani de Warens, która się tam urodziła, ojca mego który tam żył, panny de Vulson która posiadała tam pierwociny mego serca, różnych uroczych wycieczek które odbyłem w dzieciństwie i, zdaje mi się, jakaś inna przyczyna, tajemniejsza jeszcze i silniejsza. Kiedy żarliwa tęsknota za tem szczęściem i słodkiem życiem, które mi ucieka a do którego byłem zrodzony, rozplomieni mą wyobraźnię, zawsze wówczas zatrzymuję się w Vaud, nad jeziorem, w tych uroczych wioskach. Trzeba mi koniecznie sadu nad jeziorem, nie gdzieindziej, trzeba mi dobrego, pewnego przyjaciela, milej kobiety, własnej krówki, małego czółenka. Nie zaznam prawdziwego szczęścia, póki nie będę miał tego wszystkiego. Śmiać się muszę z naiwności, z jaką, wiele razy, puszczałem się w te okolice, poto jedynie, by szukać w nich tego urojonego szczęścia. Zawsze byłem zdziwiony, znajdując wśród mieszkańców, zwłaszcza wśród kobiet, zupełnie inny typ niż ten którego szukałem. Jakże często raził mnie ten dysonans! Ziemia i ludzie, którzy tam mieszkają, nigdy nie wydawali mi się stworzeni dla się wzajem.

W czasie tej podróży do Vevay, wędrując pięknem wybrzeżem, poddawałem się najsłodszej melancholji: serce moje wybiegało z zapalem po tysiąc niewinnych rozkoszy; rozrzewniałem się, wzdychałem i płakałem jak dziecko. Ileż razy, zatrzymawszy się aby się wypłakać do woli, siedząc na dużym kamieniu, przyglądałem się, jak moje lzy kapały do wody!

W czasie dwóch dni, które spędziłem w Vevay nie widując nikogo, nabrałem dla tego miasta uczucia miłości, które nie opuszczało mnie nigdy w moich wędrowkach i które tam mi kazało wreszcie umieścić bohaterów mego romansu ¹⁾. Rad byłbym powiedzieć wszystkim, którzy umieją czuć i patrzeć: Idźcie do Vevay, zwiedźcie kraj, przebiegnijcie okolice, przejedźcie się po jeziorze i powiedzcie czy natura nie stworzyła tych uroczych stron dla takiej

¹⁾ Nowa Heloiza.

Julji, dla takiej Klary i dla takiego Saint-Preux, ale nie szukajcie tam ich samych! Wracam do opowieści.

Ponieważ byłem katolikiem i podawałem się za takiego, dopełniałem bez tajemnicy i bez skrupułu obrządków mego przybranego wyznania. W niedzielę, gdy czas był ładny, chodziłem na mszę do Assens, o dwie mile od Lozanny. Odbywałem zwykle tę drogę w towarzystwie innych katolików, zwłaszcza pewnego paryskiego hafciarza, którego nazwiska zapomniałem. A nie był to Paryżanin taki jak ja, ale prawdziwy Paryżanin z Paryża, arcy-Paryżanin z bożej łaski, przytem najpocześniejszy człowiek w świecie. Kochał swoje rodzinne miasto tak, iż nigdy nie pozwolił sobie wątpić że ja zeń pochodzę, z obawy utracenia sposobności do rozmowy o niem. Pan de Crouzas, zastępca gubernatora, miał ogrodnika również z Paryża, ale ten był mniej wyrozumiały i uważał za zniewagę dla chwały swego miasta, gdy ktoś ważył się podawać za jego mieszkańca, nie mając tego zaszczytu. Zadawał mi pytania z miną człowieka pewnego iż mnie na czemś wyłapie, a potem uśmiechał się złośliwie. Zapytał mnie raz, co znajduje się godnego uwagi na Nowym Targu. Zrejterowałem naturalnie, jak można sobie wyobrazić. Przeżywszy dwadzieścia lat w Paryżu, teraz muszę chyba znać to miasto; mimo to, gdyby mi kto dziś zadał podobne pytanie, odpowiedź na nie byłaby mi równie kłopotliwa; z tego zakłopotania, mógłby ktoś tak samo wnosić, że nigdy nie byłem w Paryżu. Do tego stopnia, nawet kiedy człowiek spotka się z prawdą, z łatwością buduje sądy na złudnych podstawach.

Nie umiałbym ściśle powiedzieć, jak długo zostałem w Lozannie. Nie mam z tego miasta żadnych wytycznych wspomnień. Wiem tylko, że, nie mając z czego żyć, udałem się do Neufchâtel, gdzie spędziłem zimę. W tem mieście powiodło mi się lepiej; znalazłem uczniów, i zapracowałem tyle, że mogłem się uiścić z długu memu zacnemu przyjacielowi, panu Perrotet, który wiernie odesłał mi tobolek, mimo iż winien mu byłem sporo.

Nieznacznie, nauczając muzyki, sam się jej poduczyłem. Życie

płynęło mi dość przyjemnie; rozsądny człowiek byłby się niem zadowolili: ale moje niespokojne serce domagało się czego innego. W niedzielę i w dniu w które byłem wolny, wałęsałem się po wsiach i okolicznych lasach, wciąż błądząc, marząc, wzdychając; a kiedy raz wydostałem się z miasta, nie wracałem aż wieczór. Jednego dnia, w Bondry, wstąpiłem na obiad do jakiejś karczemki: ujrzałem tam mężczyznę z wielką brodą, w fioletowej szacie greckiego kroju, w fantazyjnej czapce, ze stroju i z miny wyglądającego dość godnie. Przybysz ów zaledwie mógł się porozumieć, mówił bowiem szwargotem prawie niepodobnym do schwycenia uchem, ale bardziej zbliżonym do włoskiego niż do jakiegokolwiek innego języka. Rozumiałem prawie wszystko, ale tylko ja jeden; z gospodarzem i miejscowymi ludźmi porozumiewał się jedynie na migi. Rzekłem po włosku kilka słów, które zrozumiał doskonale: wstał i zbliżył się do mnie, by mnie uściskać z zapalem. Wkrótce przypieczętowaliśmy znajomość i od tej chwili służyłem mu za tłumacza. Obiad, przy którym siedział, był smaczny i obfity; mój, więcej niż skromny. Zaprosił mnie, czego nie dałem sobie dwa razy powtarzać. Pijąc i gwarząc, zbliżyliśmy się jeszcze bardziej; pod koniec obiadu byliśmy już nierozłączni. Opowiedział mi, że jest prałatem greckim i jerozolimskim archimandrytą i że podjął się zbierać po Europie składkę na odrestaurowanie Grobu Zbawiciela. Pokazał mi patenty carycy i cesarza; miał je także i od innych panujących. Był dość rad z tego co zebrał dotąd, ale, wedle tego co mówił, spotkał się z nadzwyczajnymi trudnościami w Niemczech, nie rozumiejąc ani słowa po niemiecku, po francusku i po łacinie, skazany na język turecki, grecki i frankoński za cały ratunek; co wszystko nie na wiele mu się zdało w tym kraju. Zaproponował mi, bym mu towarzyszył jako sekretarz i tłumacz. Mimo świeżo nabytego fioletowego ubranka, które dość harmonizowało z mą nową pozycją, wyglądałem tak niepokaźnie, iż liczył snadź że bez trudności przyjdzie mu mnie pozyskać, w czem zresztą się nie omylił. Łatwo dobiliśmy targu; ja nie żądałem nic, on przyrzekał wiele. Bez poręki, bez rę-

kojmi, bez znajomości, oddałem się w jego ręce i oto, z dnia na dzień, puszczałem się na wędrówkę do Jerozolimy.

Zaczęliśmy kwestę od kantonu fryburskiego, gdzie mój prałat utargował niezbyt wiele. Godność biskupa nie pozwalała puszczać się na zebranie i kwestować u osób prywatnych; ale przedłożyliśmy pełnomocnictwa senatowi, który ofiarował niedużą sumkę. Stamtąd, udaliśmy się do Berna. Stanęliśmy w oberży *pod Sokolem*, wówczas dobrej gospodzie, gdy schodziło się lepsze towarzystwo. Stół był liczny i dobrze zaopatrzony. Oddawna już z jadłem mojem było nader krucho; bardzo trzeba mi było skrzepić się pod tym względem: nadarzyła się sposobność, korzystałem z niej. Jego Wielbność archimandryta był to człek dość światowy, lubiący swobodną pogawędkę przy stole, wesół, dowcipny (dla tych, którzy go rozumieli), nie bez wykształcenia i wcale przyjemnie zaprawiający rozmowę swą grecką erudycją. Jednego dnia, rozłupując przy wetach orzechy, zaciął się w palec; krew popłynęła obficie, on zaś pokazał palec kompanji i rzekł ze śmiechem: *Mirate, signori, questo e sangue pelargo.*

W Bernie, usługi moje nie były mu wcale zbyteczne i wywiązałem się z nich nie tak źle, jak się obawiałem. Czułem się o wiele śmielszy i wymowniejszy, niżbym nim umiał być dla samego siebie. Sprawa nie odbyła się tak gładko jak we Fryburgu; trzeba było długich i częstych konferencyj z naczelnikami rządu, a sprawdzanie tytułu archimandryty też nie dało się ubić w jednym dniu. Wkońcu, znalazłszy wszystko w porządku, dopuszczono prałata do audjencji w senacie. Wszedłem z nim jako tłumacz; polecono mi mówić. Była to ostatnia rzecz, której się spodziewałem; nie przyszło mi na myśl, iż, po tak długich naradach z poszczególnymi członkami, trzeba będzie zwracać się znowu do „ciała“, tak jakby nic nie było powiedziane. Można sobie wyobrazić moje zakłopotanie! Dla człowieka tak nieśmiałego, przemawiać nietylko publicznie, ale wobec senatu miasta Berna, i to z miejsca, nie mając ani minuty na przygotowanie, to chyba dość by mnie unicestwić. Tymczasem, na-

wet się nie zmieszalem. Wyłożyłem treściwie i jasno sprawę archimandryty. Pochwaliłem pobożność monarchów, którzy przyczynili się do składki. Pobudzając Ich Ekscelencje do szlachetnej emulacji, rzekłem, iż zwykła ich wspaniałomyślność pozwala i w nich niemniejsze pokładać nadzieje; następnie, wywiódłszy iż to szlachetne dzieło równie drogiem być winno wszystkim chrześcijanom bez różnicy obrządku, zakończyłem obietnicą błogosławieństwa niebios tym, którzy zechcą dać swój grosik. Nie powiem, aby mój wywód wywarł silne wrażenie, ale zrobił swoje i, z końcem audjencji, archimandryta otrzymał dość pokaźny prezencik, a zarazem sporo komplementów dla talentów jego sekretarza, komplementów, których miałem przyjemność być tłumaczem, nie śmiejąc ich wszakże przytoczyć w dosłownem brzmieniu. Oto jedyny raz w życiu przemawiałem publicznie i przed Najwyższą Władzą, i jedyny raz może mówiłem dobrze i śmiało. Co za różnice w charakterze jednego i tego samego człowieka! Przed trzema laty, wybrawszy się do Yverdun, do mego starego przyjaciela Roguin, musiałem przyjąć deputację, która przybyła podziękować za parę książek ofiarowanych bibliotece tego miasta. Szwajcarzy są wielcy oratorzy, toteż panowie ci wypalili do mnie orację. Czułem się w obowiązku odpowiedzieć; ale poplątałem się tak i w głowie mi się tak zmaciło, że utknąłem w połowie i naraziłem się tylko na drwiny. Mimo iż lekkliwy z natury, bywałem niekiedy śmiały w młodości, nigdy w późniejszym wieku. Im dłużej żyłem na świecie, tym trudniej mi było dostroić się do jego tonu.

Opuściwszy Berno, udaliśmy się do Solury; zamiarem archimandryty było skierować się znów ku Niemcom i wrócić przez Węgry i Polskę, co stanowiło olbrzymią drogę; ale, ponieważ w drodze sakwy raczej pęczniały niż się wypróżniały, nie obawiał się zbytnio tego okrażenia. Co do mnie, który podróż konną lubilem tak samo jak pieszą, nie miałbym nic przeciw temu aby podróżować tym kształtem całe życie; ale było pisane, że nie zawędruję tak daleko.

Pierwszą rzeczą, jaką uczyniliśmy przybywszy do Solury, było

pokłonić się ambasadorowi francuskiemu. Nieszczęściem dla biskupa, stanowisko ambasadora zajmował margrabia de Bonac, który był, w swoim czasie, ambasadorem u Porty, i który, tem samem, musiał być dobrze poinformowany o wszystkim co tyczyło św. Grobu. Archimandryta otrzymał audjencję trwającą blisko kwadrans, ponieważ ambasador rozumiał język frankoński, a po włosku mówił conajmniej równie dobrze jak ja. Skoro Grek wyszedł, chciałem iść za nim; zatrzymano mnie i wzięto z kolei na spytki. Ponieważ podałem się za Paryżanina, podpadałem jako taki pod jurysdykcję Jego Ekscelencji. Zapytał, kto jestem, upominając bym mówił prawdę; co też przyrzekłem, prosząc o osobną audjencję, której mi udzielono. Ambasador zabrał mnie do oddzielnego gabinetu i zamknął drzwi; tam, rzuciwszy mu się do nóg, dotrzymałem słowa. Toż samo byłbym uczynił bez żadnego przyrzeczenia, potrzeba bowiem zwierzenia się i wynurzeń należy do właściwości mego charakteru. Skoro mogłem się bez zastrzeżeń wypowiedzieć owemu muzykantowi Lutoldowi, nie miałem przyczyny bawić się w sekrety z margrabią de Bonac. Był tak rozbawiony moją historją i mem naiwnem wylaniem, że wziął mnie za rękę, zaprowadził do ambasadorowej i przedstawił mnie jej, powtarzając w skróceniu me dzieje. Pani de Bonac przyjęła mnie z dobrocią i rzekła, że nie trzeba mi pozwolić iść z tym mnichem greckim. Postanowiono, że zostanę na razie w pałacu, a później pokaże się co ze mną począć. Chciałem pożegnać się z biednym archimandrytą, do którego przywiązałem się potrosze: nie pozwolono mi. Posłano doń z wiadomością że mnie zatrzymano; w kwadrans potem, otrzymałem moje zawiniątko. Panu de la Martinière, sekretarzowi ambasady, polecono zaopiekować się mną na razie. Prowadząc mnie do przeznaczonego pokoju, rzekł: Ten pokój zajmował, za hrabiego de Luc, sławny człowiek, tego samego nazwiska co ty: od ciebie jedynie zależy wstąpić w jego ślady i sprawić, by kiedyś mówiono „Rousseau pierwszy, Rousseau drugi“. Ta wróżba, której ziszczenia nie spodziewałem się wówczas wcale, byłaby mniej lubo pogłaskała me

pragnienia, gdybym mógł przewidzieć, jak drogo przyjdzie mi kiedyś okupić jej spełnienie.

Odezwanie się pana de la Martinière obudziło we mnie ciekawość. Przeczytałem dzieła tego, którego pokój zajmowałem i, podniecony tym komplementem, mniemając iż mam zamiłowanie do poezji, skomponowałem, jako pierwszą próbę, kantatę na cześć pani de Bonac. Ta skłonność okazała się bez głębszych podstaw. Składałem, od czasu do czasu, dość mierne wiersze: jestto niezłe ćwiczenie aby się zaprawić w wykwintnej składni i nauczyć się lepiej pisać prozą; ale nigdy poezja francuska nie przedstawiała dla mnie dość uroku, abym się jej zapragnął poświęcić całkowicie.

Pan de la Martinière chciał poznać mój styl i zażądał na piśmie mojej szczegółowej historii, tak jak ją opowiedziałem ambasadorowi. Wypisałem długi list, przechowany, jak się dowiaduję, dotąd u pana de Marianne, który długi czas przebywał przy margrabi de Bonac i był później następcą de la Martinière, za ambasadę pana de Courteilles. Prosiłem pana de Malesherbes, aby się postarał dla mnie o kopję tego listu. Jeśli ją zdołam wydostać przez niego albo przez kogo innego, znajdzie się w małym archiwum, które ma być dołączone do tych *Wyznań*.

Doświadczenie, którego zaczynałem nabierać, łagodziło potrosze moje romantyczne projekty; tak na przykład, nietylko nie zakochałem się w pani de Bonac, ale zrozumiałem odrazu, iż nie mogę dojść do niczego w domu jej męża. Wobec tego, że miejsce było zajęte przez pana de la Martinière, który miał już następcę w osobie pana de Marianne, jedynym losem, który mógł mnie oczekiwać, byłoby stanowisko jakiegoś podsekretarza, co nie kusiło mnie zbyt. To było powodem, iż, kiedy mnie spytano co pragnę począć z sobą, objawiłem wielką ochotę dostania się do Paryża. Ambasadorowi spodobał się ten pomysł, który miał bodaj tę zaletę, iż uwalniał go odemnie. Pan de Merveilleux, tłumacz ambasady, powiedział, że jego przyjaciel, Godard, pułkownik Szwajcarów w służbie Francji, szuka kogoś, kogoby mógł umieścić przy swoim sio-

strzeńcu, młodo rozpoczynającym karierę wojskową: pomyślał tedy, iż mógłbym się nadać. W myśl tego postanowienia, powziętego dość lekko, uchwalono mój wyjazd. Co do mnie, który widziałem w tem perspektywę podróży, z Paryżem u kresu, puściłem się w drogę z radością. Dano mi parę listów, sto franków wraz z wieloma zbawiennymi naukami, i ruszyłem.

Podróż ta zajęła mi dwa tygodnie, które mogę zaliczyć do najszczęśliwszych w życiu. Byłem młody, czułem się zdrow, miałem dość pieniędzy, dużo nadziei, podróżowałem pieszo i sam. Mógłby się czytelnik zdziwić, słysząc że wymieniam to ostatnie jako dodatnią okoliczność, gdyby nie to, że musiał się już chyba zapoznać z mem usposobieniem. Słodkie chimery dotrzymywały mi towarzystwa, a nigdy w mej rozplamionej wyobraźni nie legły się one wspanialej! Kiedy mi ktoś ofiarował miejsce w wehikule, albo przyczepił się do mnie w drodze, sarkałem, widząc, jak rozsypują się fantastyczne zamki które budowałem sobie wędrując samotnie. Tym razem, myśli moje miały charakter marsowy. Miałem objąć stanowisko przy osobie wojskowej i sam wstąpić do wojska; ułożono bowiem, że na początek mam zostać kadetem. Już się widziałem w oficerskim mundurze z białym pióropuszem. Serce rosło we mnie pod wpływem tego szlachetnego obrazu. Miałem trochę pojęcia o geometrii i o sztuce fortyfikacyjnej; miałem wuja inżynierem: byłem tedy poniekąd dzieckiem obozu. Krótki wzrok sprawiał niejaki trudności, ale to mnie nie kłopotalo: liczyłem, iż zimna krew i nieustraszona odwaga zrównoważą tę drobną ułomność. Czytałem gdzieś, że marszałek Schomberg miał wzrok bardzo krótki; czemuż marszałek Rousseau nie mógłby mieć tego braku? Tak rozpaląłem się temi szaleństwami, że widziałem same wojska, szanice, okopy, baterje, i siebie, w ogniu i dymie, z lunetą w dłoni, wydającego spokojnie rozkazy. Mimo to, kiedy przechodziłem przez urocze wioski, kiedy widziałem strumienie i gaiki, ten wzruszający widok wyrywał mi westchnienie żalu; czułem, w pełni chwały, że serce me nie jest stworzone do bitewnego zgiełku; w jednej chwili, sam nie

wiedząc jak, znów znajdowałem się na łonie mej pasterskiej sielanki, wyrzekając się na zawsze czynów Marsa.

Jakże doszczętnie pierwszy widok Paryża obalił wszystko co o nim roilem! Wspaniałości które podziwiałem w Turynie, piękność ulic, symetria i uszeregowanie domów, kazały mi się spodziewać po Paryżu czegoś o wiele wspanialszego jeszcze. Wyobrażałem sobie miasto równie piękne jak duże, o imponującym kształcie, gdzie spotyka się jeno pyszne ulice, pałace z marmuru i złota. Wchodząc przez przedmieście Saint-Marceau, ujrzałem, przeciwnie, brudne i cuchnące uliczki, brzydkie i czarne domy, niechlujstwo, ubóstwo, żebraków, przekupniów, cerowaczki pończoch, handlarki limonady i starych kapeluszy. Wszystko to uderzyło najpierw moje oczy, a wrażenie było tak silne, że wszystkie prawdziwe wspaniałości które później widziałem w Paryżu, nie mogły zatrzeć tego wrażenia i na zawsze został mi pewien tajemny wstręt do mieszkania w tej stolicy. Mogę powiedzieć, że cały czas, który spędziłem później w Paryżu, obracałem jedynie na zdobycie środków, któreby mi pozwoliły żyć zdala od niego. Taki jest owoc zbyt żywej wyobraźni, która przesadza jeszcze wszelką ludzką przesadę i widzi zawsze więcej niż ktoś jej powiada. Tak mi wysławiano Paryż, że wyobraziłem go sobie niby dawny Babilon, który, gdybym go mógł widzieć, tak samoby mnie może zawiódł w stosunku do pojęć jakie sobie o nim wytworzyłem. Toż samo zdarzyło mi się w Operze, gdzie pośpieszyłem zaraz na drugi dzień po przybyciu; toż samo później w Wersalu; toż samo za pierwszym widokiem morza; i zdarzy mi się zawsze, ilekroć przyjdzie mi oglądać rzeczy zbyt *zapowiadane*; niepodobna bowiem ludziom, a trudno nawet samej naturze, przeżyzyć, co do bogactwa, mą wyobraźnię.

Wnosząc ze sposobu w jaki mnie przyjęto u wszystkich osób do których miałem listy, sądziłem, iż los mój jest zapewniony. Człowiekiem, któremu najgoręcej mnie polecono, a który najmniej okazał mi przychylności, był pan de Surbeck, wycofany ze służby i pędzący filozoficzny żywot w Bagneux. Odwiedziłem go tam kil-

kakrotnie, przyczem nie poczęstował mnie nigdy ani szklanką wody. Lepszego doznałem przyjęcia u pani de Merveilleux, bratowej tłumacza, i u jego bratanka, oficera gwardji. Nietylko matka i syn przyjęli mnie życzliwie, ale zaprosili mnie do swego stołu, z którego nieraz korzystałem w ciągu pobytu w Paryżu. Pani de Merveilleux musiała być niegdyś piękna; miała bujne czarne włosy, zakręcone, starą modą, w różyczki na skroniach. Zostało jej to, co nie przemija z urodą: żywy i bystry umysł. Zdawała się nawzajem smakować w moim i zrobiła co mogła aby mi dopomóc; ale nikt jej nie poparł i niebawem rozczarowałem się zupełnie co do zainteresowania które mi zrazu okazywano. Ale trzeba oddać sprawiedliwość Francuzom: nie silą się oni tak bardzo, jak o nich powiadają, na oświadczenia i obietnice, a jeśli je czynią, to prawie zawsze szczerze; ale mają ów żywy sposób okazywania swego zajęcia, który bardziej ludzi niż słowa. Ciężkie komplementy Szwajcarów mogą zwieść jedynie głupca: przyjęcie Francuzów jest przez to samo bardziej pociągające, że jest nader proste: myślelibyście, że oni nie mówią wszystkiego co chcą dla was uczynić, aby wam sprawić tem miłszą niespodziankę. Powiem więcej, nie są wcale fałszywi w swych wylaniach; są z natury uczynni, ludzcy, życzliwi, i nawet, mimo wszystko co o nich mówią, szczerzi od innych: ale są letcy i zmienni. Wierzą w uczucia, które okazują, ale uczucia te odchodzą równie łatwo jak przyszły. Mówiąc z wami, pełni są was niejako; zejście im z oczu, zapomną natychmiast. Nic trwałego w ich sercu; wszystko jest dziełem chwili.

Doznałem tedy mnóstwa grzeczności a mało pomocy. Pułkownik Godard, którego bratankowi mnie przydano, okazał się paskudnym starem skąpcem, który, mimo iż nadziany złotem, widząc mnie w ciężkiem położeniu, chciał mnie kupić za nic. Pragnął uczynić ze mnie przy swoim siostrzeńcu coś w rodzaju służącego, i to bez zaślug! Nieustannie przywiązany do jego osoby, a tem samem wolny od czynnej służby, musiałbym żyć jedynie z nędznej płacy kadeta, to znaczy żołnierza: ledwie zgodził się sprawić mi mundur; chciał,

bym się zadowolili pułkowym. Pani de Merveilleux, oburzona temi warunkami, sama odradziła mi przyjęcie; syn jej również podzielał to zdanie. Szukano mi czegoś innego: nic nie można było znaleźć. Tymczasem zaczęło być koło mnie kuso: sto franków, z których już opędziłem podróż, nie mogły mnie zaprowadzić daleko. Szczęściem, otrzymałem od ambasadora jeszcze małą przesyłkę, która mnie bardzo wspomogła; sądzę, że i nadal nie byłby mnie opuścił, gdybym miał więcej cierpliwości: ale czekać, znosić, prosić, to były dla mnie rzeczy niemożliwe. Zraziłem się, przestałem się pokazywać i wszystko się urwało. Nie zapomniałem mej drogiej mamusi: ale jak ją znaleźć? gdzie szukać? Pani de Merveilleux, która знаła moje dzieje, pomagała mi w poszukiwaniach; długo bez skutku. Wreszcie, powiadomiła mnie, iż pani de Warens opuściła miasto przed dwoma zgórą miesiącami, ale niewiadomo, czy się udała do Sabaudji czy do Turynu; wiele osób twierdziło, iż wróciła do Szwajcarii. Nie trzeba było więcej, bym się puścił w jej ślady, w tej nadziei, iż, gdziekolwiek bawi, łatwiej mi ją będzie odnaleźć na prowincji niż w Paryżu.

Nim opuściłem miasto, dałem upust świeżo obudzonej wienie poetyckiej w epistole do pułkownika Godard, w której osmarowałem go jak umiałem. Pokazałem te bazgroty pani de Merveilleux, która, miast je osądzić jak należało, uśmieła się serdecznie z mych sarkazmów; toż samo syn, który, jak mniemam, nie lubił pana Godard: trzeba przyznać że nie był przyjemny. Ogarnęła mnie pokusa, by mu posłać owe wiersze: oboje podsycali mnie w tej myśli: zwinąłem je w pakiecik, zaadresowałem, a że wówczas nie było jeszcze w Paryżu miejskiej poczty, włożyłem do kieszeni i wysłałem po drodze z Auxerre. Śmieję się jeszcze czasem, gdy sobie wyobrażę, jaką minę musiał robić czytając ten panegiryk, gdzie był odmalowany do najdrobniejszego rysu. Zaczynał się tak:

Więcś ty, stary kutwo, myślał że się skuszę,
By twojego bratanka torturować duszę?

Ten drobny utwór, licha napisany, ale nie pozbawiony soli i zdradzający pewien talent do satyry, był wszelako jedynem piśmie satyrycznem które wyszło z pod mego pióra. Posiadam serce zbyt obce nienawiści, aby robić użytek z podobnego talentu; ale, o ile mi się zdaje, z niektórych utworów polemicznych, które zmuszony byłem pisać od czasu do czasu w swej obronie, można wnieść, że, gdybym był bardziej wojowniczej natury, wrogowie moi rzadko mieliby śmieszków po swojej stronie.

Ze wszystkich szczegółów zagubionych w mej pamięci, rzeczą której żałuję najbardziej jest to, że nie prowadziłem dziennika podróży. Nigdy tyle nie myślałem, nie czułem, nie żyłem, nie byłem tak sobą, jeśli można się tak wyrazić, jak w czasie tych wędrowek, które odbywałem sam i pieszo. Chodzenie ma w sobie coś, co pobudza i ożywia mą myśl; nie jestem prawie zdolny myśleć kiedy siedzę w miejscu; trzeba, by ciało było w ruchu, aby pobudzić mój umysł. Widok wsi, urocze krajobrazy, świeże powietrze, dobry apetyt, zdrowie które wdecham w siebie w takiej pieszej wędrowce, swobodne popasy, oddalenie od wszystkiego co daje mi uczuć zależność, co mi przywodzi na pamięć moje położenie, wszystko to wyzwała mą duszę, daje większą śmiałość myśli, rzuca mnie niejako w nieskończoność bytów, aby je kombinować, wybierać, brać w siebie wedle woli, bez troski i obawy. Rozrządzam wówczas jak władca całą przyrodą; serce, błędząc z przedmiotu na przedmiot, łączy się, zespała z temi które są mu miłe, otacza się czarownicami obrazami, upaja rozkoszą czucia. Jeżeli, dla utrwalenia ich, przyjdzie mi ochota zabawić się notowaniem ich w duszy, jakąż daję im siłę pędzla, jakąż świeżość kolorytu, energję wyrazu! Wszystko to, powiadają, przejawia się w mych dziełach, jakkolwiek pisanych na echyłku lat. Ach, gdyby kto mógł znać dzieła pierwszej młodości, te, które były poczęte w czasie mych podróży, te które tworzyłem a których nie spisałem nigdy!... Czemuż, powiecie, było nie pisać ich? A poco? odpowiem: poco ujmować sobie uroku doraźnej rozkoszy, by opowiedzieć drugim że jej doznałem? Co mnie obchodzili

czytelnicy, publiczność, ziemia cała, gdy duszą szybowiałem w niebie? Zresztą, czyż miałem z sobą papier, pióra? Gdybym myślał o tem wszystkiem, nicby mi nie przyszło do głowy. Nie przewidywałem zgóry, że będę miał natchnienie; sphywa, kiedy jemu się podoba, a nie kiedy jabym pragnął. Myśli albo nie przychodzą wcale, albo przychodzą tłumnie, przygniatają mnie mnogością i siłą. Dziecięć tomów na dzień nie byłoby mi starczyło. Skąd wziąć czas do napisania ich? Przybywając na popas, myślałem jedynie o tem, by się krzepić dobrym obiadem. Ruszając w drogę, tylko o tem, aby dobrze maszerować. Czulem, że nowe raje czekają mnie u bramy. Myślałem tylko o tem, aby się do nich dostać.

Nigdy nie czulem tego tak, jak w owej powrotnej drodze. Wędrując do Paryża, ograniczałem się w myśli do mych przyszłych planów. Rzuciłem się w karierę, której miałem się poświęcić i przebiegłem ją dość chlubnie: ale karjera owa nie była tą do której serce mnie ciągnęło; rzeczywistość zawadzała wyobraźni. Pulownik Godard i jego bratanek zbyt mało nadawali się do kompanji takiego jak ja bohatera. Dzięki niebu, byłem teraz wolny od wszystkich przeszkód: mogłem zanurzyć się dosyta w krainę chimer, bo jedynie to zostało przedemną. Toteż, zagłębiłem się w niej tak skutecznie, iż, niejednokrotnie, dosłownie zgubiłem się w drodze; byłbym zresztą bardzo nierad trzymał się jej zbyt ściśle, czując bowiem, że w Lyonie będę musiał znaleźć się na ziemi, byłbym wolał tam nigdy nie dotrzeć.

Jednego dnia, między innymi, zboczywszy umyślnie z drogi, aby obejrzeć zbliżoną jakąś okolicę która wydała mi się cudowna, upodobałem sobie w niej tak bardzo i tak długo krążyłem po niej w rozmaitych kierunkach, aż zabłądziłem na dobre. Po kilku godzinach daremnej wędrowni, zmęczony i konający z głodu i pragnienia, wszedłem do domku jakiegoś wieśniaka. Chałupa nie przedstawiała się zbyt okazale, ale była to jedyna jaką widziałem w okolicy. Mniemałem, że jest tu tak jak w Genewie albo Szwajcarji, gdzie wszyscy mieszkańcy mają się nieźle i, w danym razie, nie są

w zbyt nim kłopotcie, gdy trzeba ugościć przybysza. Poprosiłem go, aby, za wynagrodzeniem, przyrządził mi jakiś obiad. Ofiarował kubek kwaśnego mleka i kromkę jęczmiennego chleba, powiadając że to wszystko co posiada. Wypiłem mleko z rozkoszą i zjadłem chleb ze słomą, z otrębami, ze wszystkim; ale nie było to zbyt świetne pokrzepienie dla człowieka upadającego ze znużenia. Chłopek, który mi się przyglądał tymczasem, ocenił szczerłość mych intencji ze szczerego apetytu. Oświadczywszy tedy, iż widzi ¹⁾ że jestem porządny chłopak, który nie ma zamiaru go podejść, otworzył skrytkę przy kuchni, spuścił się do niej, i wrócił za chwilę z pięknym bochenkiem pszennego chleba, z nader apetyczną szynką i z buteleczką wina, której fizjognomja, bardziej niż wszystko inne, rozweseliła mi serce: do tego dołączył się omlecek uczciwej konsystencji; słowem, obiad, jakiego nikt, kto nie podróżował pieszo, nie zaznał w życiu. Kiedy przyszło do płacenia, na nowo chwytą go obawa i niepokój: nie chce przyjąć pieniędzy, odpycha je z pomieszaniem; a najzabawniejsze było, że zupełnie nie mogłem się domyślić, czego on się tak obawia. Wreszcie, wymówił ze drżeniem miano komisarzy i *poborców*. Dał mi do zrozumienia, że, z obawy przed ich drapieżnością, ukrywa tak starannie swój dobytek, i że byłby zgubiony, gdyby ktoś mógł podejrzewać że nie umiera z głodu! To, co mi powiedział w tym przedmiocie, a o czem nie miałem najmniejszego pojęcia, zrobiło na mnie wrażenie, które nigdy się nie zatrze. To był zarodek nieugaszonej nienawiści, jaka rozwinęła się później w mem sercu przeciw męczarniom nieszczęśliwego ludu i przeciw jego ciemiezcom. Ten człowiek, mimo iż wcale dostatni, nie śmiał jeść chleba, który zdobył w pocie czoła! ratował się od ruiny, przybierając niejako pozór nędzy, która panowała wkoło niego. Opuściłem chatę oburzony i rozczulony zarazem, bolejąc nad

¹⁾ Widocznie nie miałem wówczas jeszcze fizjognomji, jaką mi dawano później w moich portretach.

łosem pięknego kraju, który natura obsypała darami jedynie poto, by się stały łupem barbarzyńskich publikańów.

Oto jedyne wyraźne wspomnienie z tego co mi się zdarzyło w drodze. Przypominam sobie jeszcze tylko to, iż, zbliżając się do Lyonu, skusiłem się przedłużyć drogę dla odwiedzenia brzegów Lignon; między romansami bowiem które pochłaniałem z ojcem, nie brakło i *Astrei*, i ona to najczęściej wracała mi na pamięć. Spytalem o drogę do Forez; gospodyni, wdawszy się w gawędę, powiedziała, że jest to okolica, gdzie bardzo radzi widzą robotników, obfitująca w kuźnie i słynna z pięknych wyrobów żelaznych. Ta pochwała zgasła w jednej chwili mą romentyczną ciekawość; nie wydało mi się właściwem iść na poszukiwanie Dyan i Sylwandrów wśród kowali. Dobra kobiecina, która zachęcała mnie w ten sposób, wzięła mnie z pewnością za czeladnika ślusarskiego.

Nie szedłem do Lyonu zupełnie bez celu. Przybywszy do miasta, wybrałem się najpierw do Chasottes w odwiedziny do panny du Châtelet, przyjaciółki pani de Warens, do której mamusia dała mi nawet list kiedy puściłem się do Lyonu z mistrzem: była to już tedy stara znajomość. Panna du Châtelet powiedziała mi, że, w istocie, przyjaciółka jej przejeżdżała przez Lyon, ale niewiadomo czy dotarła do Piemontu: wyjeżdżając nawet, sama nie była pewna, czy nie zatrzyma się w Sabaudji. Zaproponowała mi, że, jeżeli chcę, może napisać do niej o wiadomości; najlepiej zaś będzie, jeśli zaczekam w Lyonie. Przyjąłem propozycję, ale nie śmiałem wyznać panie du Châtelet, że pilno mi mieć odpowiedź, i że stan mej saskiewki nie pozwala na zbyt długie czekanie. Nie wstrzymała mnie od tego obawa złego przyjęcia: przeciwnie, panna du Châtelet okazała mi wiele serdeczności, traktując mnie na stopie zupełnej równości. To właśnie odebrało mi odwagę: lękałem się, z roli milego znajomego, spaść do roli nieczczęśliwego żebraka.

Zdaje mi się, że czytam dość jasno w porządku wydarzeń zanotowanych w tej księdze. Wszelako, jeśli się nie mylę, przypomi-

nam sobie, w tej samej epoce, inną podróż do Lyonu, której czasu nie mogę oznaczyć i w ciągu której było koło mnie bardzo kuso. Mała przygoda, dość trudna do opowiedzenia, utrwaliła mi w pamięci ten pobyt. Jednego dnia, siedziałem na ławce na Bellecour po bardzo chudej kolacyjce, kiedy człowiek jakiś w czapce siadł koło mnie. Z miny, wyglądał na jednego z owych robotników, zatrudnionych w przemyśle jedwabnym, których w Lyonie nazywają *tafciarzami*. Odzywa się do mnie, odpowiadam mu. Pogadaliśmy sobie z kwadrans, kiedy, z tą samą zimną krwią i nie zmieniając tonu, człowiek ten proponuje, byśmy się zabawili wspólnie. Czekałem wytłumaczenia, co to ma być za zabawa; ale on, bez żadnych objaśnień, uważał za stosowne pouczyć mnie przykładem. Siedzieliśmy prawie ramię w ramię, a noc nie była dość ciemna bym mógł nie widzieć jakiego rodzaju zabawie się oddawał. Nie miał żadnych zamiarów na mą osobę; przynajmniej nic nie zdradzało tej intencji i miejsce nie było potem; chciał jedynie, jak rzekł, „zabawić się“ i żeby ja się zabawiał, każdy sobie. To zdawało mu się tak proste, że nawet nie przypuszczał, bym ja mógł patrzeć inaczej na rzeczy. Przerażony tym bezwstydem, nie odpowiadając, zerwałem się i zacząłem uciekać, mając wciąż uczucie, że ten nieszczęśnik goni mnie. Byłem tak pomieszany, że, miał skierować się do mej kwatery przez ulicę św. Dominika, pobiegłem wybrzeżem i zatrzymałem się aż za drewnianym mostem, drząc tak, jakgdybym popełnił zbrodnię. Oddawałem się temu samemu nałogowi: wspomnienie to wyleczyło mnie na długo.

W czasie tej podróży, miałem przygodę mniej więcej tego samego rodzaju, ale niebezpieczniejszą. Czując iż gotowizna zbliża się ku końcowi, oszczędzałem jak mogłem szczupłe resztki. Coraz rzadziej zachodziłem na posiłek do oberży, a wkońcu przestałem tam jadać zupełnie, znalazłszy jakąś norę, w której, za pięć czy sześć soldów, mogłem nasycić się tak samo, jak tam za dwadzieścia pięć. Nie jadając w domu, wahałem się czy mogę tam iść spać; nie iżbym był dużo winien, ale wstyd mi było zajmować pokój, nie da-

jąc nic utargować gospodyni. Pora była ładna. Jednego wieczora, było tak ciepło, że postanowiłem spędzić noc na placu; ułożyłem się na ławce, kiedy jakiś przechodzący ksiądz, widząc mnie tak spoczywającego, zbliżył się i spytał czy nie mam noclegu. Wyznałem mu mą sytuację, którą zdawał się wzruszony. Usiadł koło mnie, zaczęliśmy rozmawiać. Mówił przyjemnie: wszystko, co mówił, uprzedziło mnie jak najlepiej. Spostrzegłszy, iż pozyskał moje zaufanie, zwierzył mi się, iż nie posiada zbyt obszernego pomieszczenia, tylko jeden pokój, ale że z pewnością nie pozwoli mi tak spać pod gołym niebem, że zaś za późno jest szukać noclegu, na tę noc ofiaruje mi połowę łóżka. Przyjąłem, rojąc już sobie, że oto znalazłem przyjaciela, który może mi być użyteczny. Idziemy. Pokój szczupły, ale schludny; gospodarz bardzo uprzejmy. Wydobył ze szklanego słoja wiśnie na wódce; zjedliśmy po dwie i położyliśmy się spać.

Okazało się, iż ten człowiek miał takie same upodobania jak ów żyd w przytulisku, tylko że nie objawił ich równie brutalnie. Czy że, w obawie iż mogę narobić hałasu, lękał się mego oporu, czy w istocie mniej był gorącego temperamentu, dość że nie ośmielił się czynić otwartych propozycji, tylko starał się mnie wzruszyć łagodniejszymi środkami. Bardziej świadomy rzeczy niż pierwszym razem, zrozumiałem wkrótce jego chęci i zadrzałem. Nie wiedząc ani w jakim domu, ani w czyich rękach się znajduję, lękałem się, iż, w razie gwałtownego sprzeciwu, mogę to przypłacić życiem. Udałem że nie rozumiem czego żąda; ale, okazując wielkie zniecierpliwienie jego pieśzotami i zdecydowany nie ścierpieć dalszego ciągu, opierałem się tak skutecznie, że musiał przestać. Wówczas, zacząłem doń przemawiać z całą słodyczą i stanowczością do jakiej byłem zdolny. Udając, że nic nie podejrzewam, niepokój mój wytłumaczyłem dawniejszą przygodą, którą odmalowałem mu umyślnie w wyrazach tak pełnych grozy i wstrętu, że w nim samym, sądzę, musiałem wywołać obrzydzenie. Wreszcie odstąpił zupełnie od brudnych zamiarów. Spędziliśmy spokojnie resztę nocy; powiedział

mi nawet wiele rzeczy bardzo zacnych, bardzo rozsądnych; był to z pewnością człowiek nie bez zalet, mimo że wielki świntuch.

Rano, księżyk, który nie chciał okazać swego zawodu, wspominał o śniadaniu i poprosił córkę gospodyni, ładną dziewczynę, aby nam coś przyniosła. Odparła, że nie ma czasu. Zwrócił się do jej siostry: nie raczyła nawet odpowiedzieć. Czekaliśmy ciągle, śniadania ani śladu. Wreszcie, przeszliśmy do pokoju panienek. Przywitały księżyka w sposób bardzo mało uprzejmy. Ja jeszcze mniej miałem powodu do zadowolenia z przyjęcia. Starsza, wykręcając się na pięcie, wbiła mi szpiczasty obcas w nogę, właśnie w miejsce, w którym bolesny odcisk zmusił mnie do przecięcia trzewika. Druga usunęła gwałtownie krzesło, na którym miałem właśnie usiąść; matka, wylewając wodę oknem, skropiła mi po drodze facjatę. Gdziekolwiek się usadowiłem, spędzano mnie pod jakimś pozorem: w życiu nie byłem w podobnych opałach. Widziałem w ich zelżywych i drwiących spojrzaniach tajoną wściekłość, której przyczyny, w głupocie swojej, nie pojmowałem zgoła. Oslupiały, zdumiony, bliiski mniemania że te kobiety poszalały, zacząłem już lękać się na dobre, kiedy ksiądz, który udawał że tego wszystkiego nie widzi i nie słyszy, osądziwszy trafnie iż niema już co spodziewać się śniadania, zdecydował się opuścić mieszkanie: pośpieszyłem za nim, rad że wymknąłem się tym trzem furjom. Po drodze, zaproponował mi, by wstąpić na śniadanie do kawiarni. Mimo że bardzo głodny, nie przyjąłem ofiary, na którą zresztą i on nie nastawał. Na którejś ulicy rozstaliśmy się; ja zachwycony iż tracę z oczu wszystko co mi przypominało to przekłète domostwo, on, jak sądzę, rad iż odprowadził mnie dość daleko dla zmylenia śladu. Ponieważ ani w Paryżu ani w żadnym innym mieście nie trafiło mi się nic podobnego do tych dwóch wydarzeń, zostało mi z nich mało pochlebne wrażenie o mieszkańcach Lyonu i zawsze uważałem to miasto za najbardziej ze wszystkich w Europie podległe ohvdnemu zepsuciu.

Pamięć smutnych ostateczności, w które popadłem, również

nie przyczynia się do uprzyjemnienia wspomnień tego pobytu. Gdybym umiał poczynać sobie tak jak drudzy, gdybym miał talent pożyczania i zadłużania się w oberży, z łatwością dalbym sobie radę; ale odznaczam się równą odrazą jak niezdatnością do tych rzeczy. Aby dać o tem pojęcie, wystarczy powiedzieć, iż, mimo niedostatku w którym spędziłem całe życie, nieraz wprost braku chleba, nie zdarzyło mi się ani razu, by wierzyciel, upomniawszy się o pieniądze, nie był natychmiast zaspokojony. Nigdy nie umiałem lawirować wśród niedoborów i wołałem cierpieć niż być dłużnym.

Z pewnością że można chyba nazwać cierpieniem konieczność spędzenia nocy pod gołem niebem, a to mi się wiele razy trafiło w Lyonie. Tych parę groszy, które mi zostały, wołałem obrócić na chleb niż na nocleg; ostatecznie, mniej groźną była mi śmierć z niedospania niż z głodu. Co dziwne, to że w tym okrutnym stanie nie czułem się niespokojny ani smutny. Nie miałem najmniejszej troski o przyszłość; odpowiedzi, którą miała otrzymać panna du Châtelet, czekałem sypiając pod gołem niebem, ułożywszy się na ziemi lub na ławce, równie spokojnie jak na posłaniu z róż. Z rozkoszą poprostu przypominam sobie noc, spędzoną za miastem, przy drodze ciągnącej się wzdłuż Rodanu czy Saony, nie pamiętam już bliżej. Terasowate ogrody schodziły łagodnie ku drodze. Było bardzo gorąco tego dnia. Wieczór był uroczy; rosa zwilżyła przywiewdłą trawę; ani śladu wiatru, noc spokojna; powietrze świeże a nie chłodne; słońce, schowane już za widnokregiem, zostawiło na niebie czerwone opary, których odbłask barwił wodę różowym kolorem; drzewa na tarasach dawały schronienie mnóstwu słowików, które odpowiadały sobie wzajem. Błądziłem po alejach w jakimś upojeniu, poddając zmysły i serce tym słodkim wrażeniom, i wdychając jedynie z żalu, iż muszę się nimi napawać samotny. Pochłonięty słodkim marzeniem, przechadzałem się do późnej nocy, nie zdając sobie sprawy iż jestem zmęczony. Wreszcie uczułem znużenie. Ułożyłem się rozkosznie na płycie w jakiejś niszy czy framudze w murze podpierającym terasę. Baldachim mego łóżka two-

rzyły wierzchołki drzew; sówlik śpiewał tuż nad mą głową; usnąłem kołysany jego śpiewem. Sen był mi słodki, obudzenie bardziej jeszcze. Był jasny dzień: oczy moje, otwierając się, ujrzaly wodę, zieloność, cudowny krajobraz. Wstałem, otrząsałem się; uczulem głód: ruszyłem wesoło ku miastu postanawiając obrócić na dobre śniadanie dwie drobne sztuki srebra, które mi jeszcze zostały. Byłem w tak dobrym humorze, że idąc śpiewałem kantatę Batistiniego, pod tytułem *Kapiel w Thomery*, którą umiałem na pamięć. Błogosławiony niech będzie Batistini i jego kantata, której zawdzięczam śniadanie lepsze od tego na które liczyłem i obiad, wspanialszy jeszcze, na który nie liczyłem wcale! Tak idąc i wyspiewując w najlepsze, słyszę za sobą kroki: obracam się i widzę mnicha, antonina; szedł za mną i widocznie przysłuchiwał się z przyjemnością. Zbliży się, pozdrawia mnie, pyta czy jestem muzyk. Odpowiadam: *trochę*, aby dać do zrozumienia *bardzo*. Wypytuje dalej, opowiadam mu conieco z mych dziejów. Pyta czy kopjowałem kiedy nuty. Często, odpowiadam. Była to prawda; najlepszym sposobem uczenia się było dla mnie kopjować. „Chodź tedy ze mną, powiedział mi: mogę ci dać zajęcie na kilka dni, w czasie których nie będzie ci zbywało na niczem, byleś się zgodził nie opuszczać pokoju“. Przystałem chętnie i udałem się za nim.

Ów antonin nazywał się Rollichon; lubił muzykę, znał się na niej i śpiewał w małych koncertach, które urządzał z przyjaciółmi. Była to godziwa i przyzwoita zabawa; ale upodobanie to graniczyło u niego z szaleństwem, z którym musiał się potrosze ukrywać. Zaprowadził mnie do pokoiku, gdzie znalazłem mnóstwo nut przepisanych przez niego. Dał mi do przepisywania inne, zwłaszcza kantatę którą śpiewałem po drodze, a którą on sam miał śpiewać niebawem. Zostałem tam kilka dni, poświęcając kopjowaniu cały czas który nie był wypełniony jedzeniem; w życiu bowiem nie byłem tak zgłodniały, ani tak dobrze karmiony. Przynosił mój posiłek sam z kuchni klasztornej; sądząc po mojej ordynarji, musiała być niezgorsza. Jak żyję, nie znajdowałem w jedzeniu takiej rozkoszy; trze-

ba przyznać że ta gratka trafiła mi się bardzo w porę i że byłem wyschnięty jak drewno. Pracowałem i jadłem niemal z równym zapalem: a to wiele! Prawda iż dokładność moja nie była równa pilności. W kilka dni potem, Rollichon, którego spotkałem na ulicy, powiedział mi, iż moje partycje uniemożliwiły wykonanie utworu, tyle w nich było błędów, opuszczeń i przestawień. Trzeba przyznać, iż rzemiosło to, które obrałem sobie później za stałe zajęcie, najmniej było dla mnie stosowne. Wprawdzie mam ładny charakter pisma i kopuję bardzo czysto, ale, kiedy pracuję dłużej, podlegam takim dystrakcjom, że więcej zajmuje mi czasu wytkrobywanie niż pisanie i że, jeśli z największą uwagą nie skolacjonuję partyj, wykonanie ich staje się niemożliwe. Chcąc zatem rzecz odrobić dobrze, wywiązałem się z niej bardzo źle; pośpiech popsuł wszystko. Mimo to, pan Rollichon do samego końca obchodził się ze mną bardzo łaskawie i jeszcze na rozstanie dodał jakiegoś talara, który mi się z pewnością nie należał, ale który zupełnie mnie postawił na nogi. W kilka dni później, otrzymałem wiadomość od mamusi, (która znalazła się w Chambéri) wraz z małą sumką i wezwaniem abym tam pospieszył, co uczyniłem z zapalem. Od tego czasu, często bywało u mnie krucho z pieniędzmi, ale nigdy do tego stopnia, abym był zmuszony pościć. Podkreślam tę epokę z sercem pełnym wdzięczności dla Opatrzności. Ostatni to raz zaznałem nędzy i głodu.

Zostałem w Lyonie jeszcze jakiś tydzień, czekając na załatwienie poleceń, któremi mamusia obarczyła pannę du Châtelet. W tym czasie odwiedzałem ją częściej niż poprzednio, zawsze gotów z rozkoszą rozmawiać o jej przyjaciółce, a nie będąc już zmuszony ukrywać się z nią rozpaczliwą sytuacją. Panna du Châtelet nie była ani młoda, ani ładna, ale miała pewien urok; była serdeczna i łatwa, a zalety jej umysłu podnosiły wartość tej prostoty. Lubiała obserwować ludzi i zastanawiać się nad ich charakterem; od niej to głównie nabrałem tego upodobania. Lubiała powieści Le Sage'a, a zwłaszcza *Gil Blasa*, mówiła mi o tej książce, pożyczyła mi jej, przeczytałem z przyjemnością; ale nie byłem jeszcze dojrzały do

tego rodzaju lektury: trzeba mi było romansów z wielkimi namiętnościami. W ten sposób spędzałem czas w towarzystwie panny du Châtelet, z równym pożytkiem jak przyjemnością; to pewna, iż żywa i światła rozmowa rozumnej kobiety bardziej zdolna jest ukształtować duszę młodego człowieka, niż cała pedantyczna książkowa filozofja. W klasztorze, gdzie mieszkała, poznałem i inne pensjonariuszki oraz ich przyjaciółki, między innymi czternastoletnią osóbkę, pannę Serre, na którą wówczas nie zwróciłem uwagi, ale którą zaproszyłem sobie serce w ośm czy dziewięć lat potem; i słusznie: była to urocza dziewczyna.

Upojony nadzieją oglądania niebawem najlepszej mamusi, dałem nieco wychnienia mym chimierom. Prawdziwe szczęście, które mnie oczekiwało, tłumilo potrzebę szukania go w złudach wyobraźni. Nietylko odnalazłem moją mamusię, ale miałem znaleźć przy niej i przez nią przyjemne zatrudnienie; donosiła mi, iż wyszukała zajęcie, co do którego ma nadzieję że mi się nada i które nie oddali mnie od niej. Łamałem sobie głowę, coby to mogło być za zajęcie i w istocie musiałbym chyba zgadnąć, aby trafić w sedno. Miałem dość pieniędzy, aby wygodnie odbyć drogę. Panna du Châtelet radziła mi nająć konia; nie mogłem się na to zdobyć, i słusznie: byłbym stracił przyjemność ostatniej podróży pieszej którą odbyłem w życiu: bo nie mogę dać tej nazwy wycieczkom, jakie czyniłem często mieszkając w Motiers.

Jestto rzecz bardzo osobliwa, że wyobraźnia moja nastraja się zawsze tem przyjemniej, im mniej przyjemne jest położenie w którym się znajduję; a przeciwnie, najmniej jest uśmiechnięta, kiedy wszystko śmieje się dokoła mnie. Moja niesforna głowa nie umie być niewolnicą przedmiotów i zdarzeń. Nie umie upiększać: chce tworzyć. Przedmioty realne malują się w niej zaledwie tak jak są; umie stroić w czary jedynie przedmioty zrodzone z wyobraźni. Kiedy chcę malować wiosnę, muszę mieć dokoła zimą; kiedy chcę opisać piękny krajobraz, muszę być zamknięty w murach. Mówiłem po sto razy, że, gdyby mnie kiedy zamknięto w Bastylji,

stworzyłbym tam obraz swobody. Wyruszając z Lyonu, widziałem przyszłość w samych przyjemnych barwach: tyleż miałem przy czyn do otuchy i radości, ile powodów do smutku i niepokoju wędrując do Paryża. Mimo to, nie snulem w ciągu tej podróży owych rozkosznych marzeń, których zaznałem w poprzedniej drodze. Zbliżałem się z rozczuleniem do najlepszej przyjaciółki, którą miałem zobaczyć niebawem. Napawałem się zawczasu, ale bez upojenia, słodyczą życia w jej pobliżu. Zawsze spodziewałem się tego; było to dla mnie tak, jakgdyby nie zaszło nic nowego. Troszczyłem się o me przyszłe zatrudnienie, tak jakby to była rzecz warta troski. Myśli moje były łagodne i spokojne, a nie anielskie i upojone. Oczy moje widziały otaczające przedmioty; zwracałem uwagę na krajobrazy; uważałem drzewa, domy, strumienie; zastanawiałem się na skrzyżowaniu dróg, bałem się zablądzić i umiałem się tego chronić. Słowem, nie pływałem już w empirejskim niebie; byłem to tam gdzie byłem, to tam dokąd szedłem, nigdy dalej.

W opowiadaniu moich podróży trafia mi się to samo, co w nich samych: nie umiem przybyć na miejsce. Serce biło mi z radości, kiedy się zbliżałem do drogiej mamusi, a mimo to nie przyspieszałem kroku. Lubię wędrować sobie wedle upodobania i zatrzymać się kiedy mi przyjdzie ochota. Życie włóczęgi, to najmilsza dla mnie forma życia. Wędrować pieszo w piękną pogodę, piękną okolicą, nie spiesząc się, mając wszelako, jako kres drogi, przedmiot pełen uroku: oto, ze wszystkich sposobów życia, ten który najbardziej przypada mi do smaku. Wiadomo już czytelnikowi, co rozumiem pod piękną okolicą. Nigdy krajobraz równy, choćby najpiękniejszy, nie wydaje się piękny w mych oczach. Trzeba mi strumieni, skał, świerków, czarnych lasów, gór, stromych dróg po których się to wchodzi to zstępuje, przepaści przyprawiających o drżenie. Miałem tę przyjemność i zakosztowałem jej w całym uroku zbliżając się do Chambéri. Niedaleko góry przeciętej wąwozem, nazwanej *Pas-de-l'Echelle*, nad gościńcem wykutym w skale, w okolicy zwanej Chailles, biegnie i pieni się w straszliwych czeluściach

rzeczka, która chyba tysiące wieków musiała żłobić swoje koryto. Ogrodzono jej brzeg parapetem, aby zapobiec wypadkom; dzięki temu, mogłem patrzeć w dno i nabawiać się zawrotu głowy do syta. W zamięłowaniu mojem do stromych urwisk szczególne jest to, iż przyprawiają mnie o zawrót; lubię to uczucie, byle w bezpiecznem miejscu. Silnie oparty o parapet, nachylałem się nad przepaścią i trwałem tak godziny całe, oglądając, od czasu do czasu, tę pianę i tę niebieską wodę, której ryk słyszałem poprzez krzyk kruków i drapieżnych ptaków, latających od skały do skały i od gęstwiny do gęstwiny sto sążni nademną. W okolicach, gdzie spadek był dość równy i zarośla dość rzadkie by przepuścić kamienie, wyszukiwałem głazy tak wielkie jak tylko mogłem udźwignąć, znosiłem je na kupę koło parapetu; następnie, ciskając jeden po drugim, rozkoszowałem się patrząc jak się toczą, skaczą i fruują w tysięcznych odłamkach, nim dosięgną dna.

Koło Chambéri miałem podobne zjawisko w odwrotnym sensie. Droga przechodzi u stóp najpiękniejszego wodospadu, jaki widziałem w życiu. Góra jest tak podcięta, że woda spada swobodnie, tworząc luk o takim wygięciu, iż można przejść między kaskadą a skałą, niekiedy bez zmoczenia; ale, jeśli się dobrze nie obliczy, można się zawieść na tem, jak też mnie się stało; spadając bowiem z ogromnej wysokości, woda rozpryskuje się i opada jakby pyłem, i, kiedy się nadto zbliżyć do tej chmury, po chwili, ani wiedząc kiedy, nasiąka się wilgocią.

Przybywam wreszcie: widzę ją znowu! Nie była sama. Generalny intendent był u niej właśnie, gdy wszedłem do salonu. Bez słowa, mamusia bierze mnie za rękę i przedstawia z wdziękiem, który zdobywał jej wszystkie serca: „Oto właśnie on, ów biedny młodzieniec, o którym mówiłam; jeśli pan raczy użyć mu poparcia tak długo jak długo na nie zasłuży, spokojna o niego jestem do końca życia“. Następnie, zwracając się do mnie, rzekła: „Moje dziecko, oto wchodzisz w służby króla; podziękuj panu intendentowi za chleb, który ci daje w rękę“. Otwarłem wielkie oczy, nie

nie mówiąc, już płynąc na falach wyobraźni. Niewiele brakło, bym, odurzony narkotykiem budzącej się ambicji, nie zaczął z miejsca odgrywać małego intendenta. Los okazał się mniej świetny, niż sobie po tym wstępie roiłem; ale, jak na teraz, było to dosyć aby żyć, a to było dla mnie dużo. Oto, o co chodziło:

Król Wiktor Amadeusz, sądząc z poprzednich wojen i z położenia dawnej dziedziny ojców, zdając sobie sprawę, że, prędzej czy później, ten kraj wymknie się z pod jego berła, myślał jedynie o tem, aby go wycisnąć. Postanowiwszy, przed kilku laty, obłożyć szlachtę podatkiem, nakazał sporządzenie powszechnego katastru całego kraju, aby, gdy przyjdzie do nałożenia kontrybucji, móc ją sprawiedliwie rozdzielić. Pracę tę, zaczęta za panowania ojca, dokończono za syna. Dwustu lub trzystu ludzi, tak mierników, których nazywano geometrami, jak skrybów, którzy nosili tytuł sekretarzy, użyto do tej pracy; mnie, dzięki poparciu mamusi, wpisano w liczbę tych ostatnich. Pozycja nie była zbyt intratna, zapewniała jednak w tym kraju dostatnie życie. Ujemną stroną było, że zajęcie było tylko czasowe. Bądźco bądź, pozwalało czekać i rozglądać się za czem innem; toteż, przewidująca mamusia starała się pozyskać mi względy intendenta, bym mógł z czasem przejść na jakie trwalsze stanowisko.

Objąłem funkcje w niewiele dni po przybyciu. Praca nie była trudna, niebawem włożyłem się do niej. W ten sposób, po kilku latach włóczęgi, szaleństw i niedoli, pierwszy raz od ucieczki z Genewy, zacząłem uczciwie zarabiać na chleb.

Te obszernie szczegóły mej młodości wydadzą się zapewne blache; bardzo mi przykro, że tak jest: mimo że pod niektórymi względami wcześniej stałem się człowiekiem, pod innymi znowuż długo byłem i jestem jeszcze dzieckiem. Nie przyrzekłem przedstawić czytelnikowi jakichś wielkich kolei; przyrzekłem odmalować się takim jak jestem. Aby mnie poznać w późniejszym wieku, trzeba mnie dobrze znać w mej młodości. Ponieważ, wogóle, przedmioty słabiej odciskają się w mych wrażeniach niż ich wspomnienia,

a wszystkie myśli kształtują mi się w obrazach, pierwsze rysy, które wryły się w mej głowie, pozostały w niej trwale, te zaś, które w dalszym ciągu się w niej wycisnęły, raczej skombinowały się z pierwszemi, niż je zatarły. Istnieje pewne dziedziczenie uczuć i myśli, które wpływa na ich kolejne następstwo i z którego trzeba dobrze sobie zdawać sprawę. Dlatego, staraniem mem jest dobrze rozwinąć wszędzie *pierwsze przyczyny*, aby tem wyraźniej uwydatnić zahaczanie się następstw o siebie. Chciałbym, w jakiś sposób, uczynić duszę moją przezroczystą dla oczu czytelnika: dlatego staram mu się ją pokazać ze wszystkich punktów, oświetlić wszelakiem światłem, sprawić by nie było najmniejszego drgnienia któreby dlań zostało niewidzialne, iżby mógł sobie wyrobić własny sąd o pierwiastku, będącym ich źródłem.

Gdybym wziął gotowy rezultat i powiedział: „Taki jest mój charakter“, czytelnik byłby zdolny mniemać, że mogę ludzić, jeśli nie jego, to samego siebie. Ale, gdy mu opowiem poprostu wszystko co mi się zdarzyło, com działał, myślał, czuł, nie mogę go wprowadzić w błąd, chyba żebym chciał; a nawet mając ten zamiar, niełatwo go urzeczywistnić przy tej metodzie. Rzeczą czytelnika jest zestawić te składniki i określić istotę, na którą się składają. Rezultat winien być jego dziełem; jeśli się omyli, sam będzie odpowiedzialny. Otóż, do tego celu, nie wystarczy by opowiadanie było wierne; trzeba także, aby było dokładne. Nie do mnie należy sądzić o wadze faktów; winienem wymienić wszystkie, innym zostawić troskę o wybór. Oto staranie, do którego przykładałem się dotąd najusilniej, i nadal w tem z pewnością nie osłabnę. Ale wspomnienia wieku średniego są zawsze mniej żywe, niż pierwszej młodości. W początku mej pracy wyzyskałem je najlepiej jak mogłem. Jeżeli późniejsze przychodzić mi będą na pamięć z tą samą siłą, mniej cierpliwym czytelnik znudzi się może trochę, ale ja nie będę nierad z mej pracy. Jednej rzeczy tylko się obawiam: nie tego, że mogę powiedzieć za wiele i powiedzieć kłamstwa, ale że mogę powiedzieć nie wszystko i przemilczeć coś z prawdy.
